

# TYGODNIK GDAŃSKI

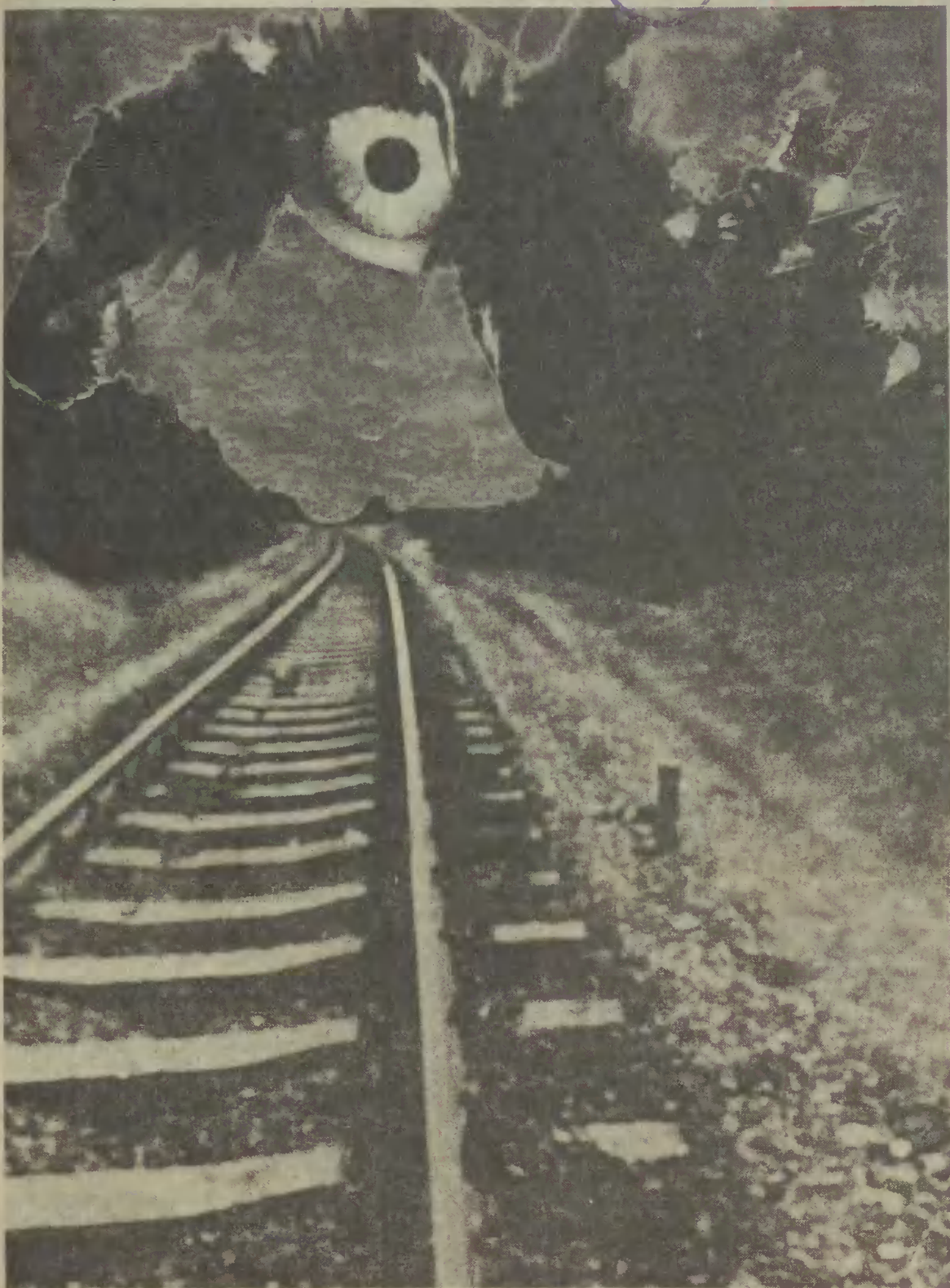
**My chcemy króla!** str. 8

PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW NSZZ

**SOLIDARNOŚĆ**

ROK II 3 CZERWCA 1990 CENA 1200 ZŁ

Fot. Jan Kups



Nie ma nic prostszego, niż wywołać strajk na kolei. Aby unieruchomić węzeł kolejowy, wystarczy kilku ludzi. Uruchomić znacznie trudniej.

Jan Jakubowski

## Węzeł kolejowy

Kilku zawiadowców stacji, dyżurnych ruchu lub maszynistów, jeśli przywdzieje opaski i nazwie się komitetem strajkowym, obejmuje władzę i żaden pociąg bez ich przyzwolenia nie opuści stacji. Pozostali pracownicy węzła mogą się przyłączyć bądź nie, to nie ma większego znaczenia. Maszynista, który chciałby jechać, nie odbierze kluczyków od lokomotywy koledze, który strajkuje dla dobra wszystkich kolejarzy, okazałby się przecież łamiącym. Podobnie jest w innych specjalnościach.

Łatwość, z jaką rozpocząć można strajk na kolei, uderzyła mnie, gdy w sobotę 26 maja słuchałem meldunków napływających do biura Okręgowej Sekcji Kolejarzy „Solidarność” w Gdańsku. Uderzyło mnie nie tylko to. Także konstatacja, że praktycznie żaden związek zawodowy nad tym nie panował...

Przez długie lata walki z totalitaryzmem kolejarze, podobnie jak ludzie innych zawodów, walczyli o niezależne związki i ich prawo do strajku. Dziś, gdy je mają, gdy odwaga staniała kosztem odpowiedzialności, kolejarze zlekceważyli ciężko wywalzone prawo. Żaden z czterech działających na kolei związków tego strajku nie proklamował. W poszczególnych węzłach strajki ogłaszały struktury nieformalne — komitety strajkowe skupiające ludzi z różnych związków. W tym również — choć

tych było najmniej — ludzi z „Solidarności”. W rozumieniu prawa był więc to strajk „dziki”.

Trzeba jednak przyznać, że uzurpujący sobie prawo do przewodzenia strajkowi Krajowy Komitet Protestacyjny Kolejarzy Polskich, który usadził się w Słupsku, w istocie struktura również nieformalna, robił wszystko, aby *ex post* usankcjonować tytuł do reprezentowania kolejarzy w negocjacjach z rządem. To właśnie ze Słupska dzień i noc płynęły na kraj kolejową siecią telefoniczne i telexowe wezwania do strajku: głodowaliśmy za was, przyłączcie się do nas teraz. Wezwania ze Słupska kierowane były zazwyczaj do konkretnych służb kolejowych, głównie do dyżurnych ruchu i maszynistów, którzy władni są zatrzymywać pociągi. Nie jest chyba przypadkiem, że na węzłach, w których zatrzymano ruch, komitety strajkowe zainicjowali ludzie z federacji OPZZ i z autonomicznego, ale za to o pezetpeerowskiej proweniencji — związku maszynistów.

A kto kierował grupą słupską? Początkowo, na etapie głodówki, była to, jak o tym pisaliśmy w poprzednim numerze, grupa desperatów podpuszczana najwyraźniej przez Jurczyka i jego kompanów. Później, gdy wezwania do poparcia protes-

dokończenie str. 4

KO

„3”

42

22

kontra reszta  
(BIAŁEJ PODLASKIEJ) str. 3

## WEJŚCIE SMOKA

mocny człowiek — śliski interes str. 7

*Szczury w aktach* str. 13

Barbara Szczepuła

## NOWY PREZES w starych dekoracjach

— Konflikt z profesorem Geremkiem — Roman Bartoszcze zapala papierosa i narzeka, że przyjechałam do Sławęcina w nieodpowiednim momencie, gdyż przed paru godzinami skończyło się wesele chrześniaka. Chrześniak jest synem brata, ale nie tego, którego zabiła esbecja, lecz starszego — Andrzeja. Andrzej tak bardzo przeżywał śmierć Piotra, że dostał zawału, potem drugiego i zmarł wkrótce po nim.

Zaś polemika z profesorem Geremkiem wyglądała tak.

W Sejmie toczyła się debata na temat reorganizacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i poseł Bartoszcze dzielił się z Wysoką Izbą swoimi obawami. Niepokoił się bowiem, że jeśli w resorcie pozostaną ci sami ludzie, reforma niewiele da, zmiany okażą się pozorem.

„Przemalowanie” — takiego użył słowa. Łatwo przemalować szyld, ale z dnia na dzień nie zmieni się człowieka. Zwłaszcza, gdy stał ponad państwem i ponad prawem. A dalej mówił o podsłuchach, lawinach donosów, kilometrach akt osobowych.

Wszystko to zna dobrze

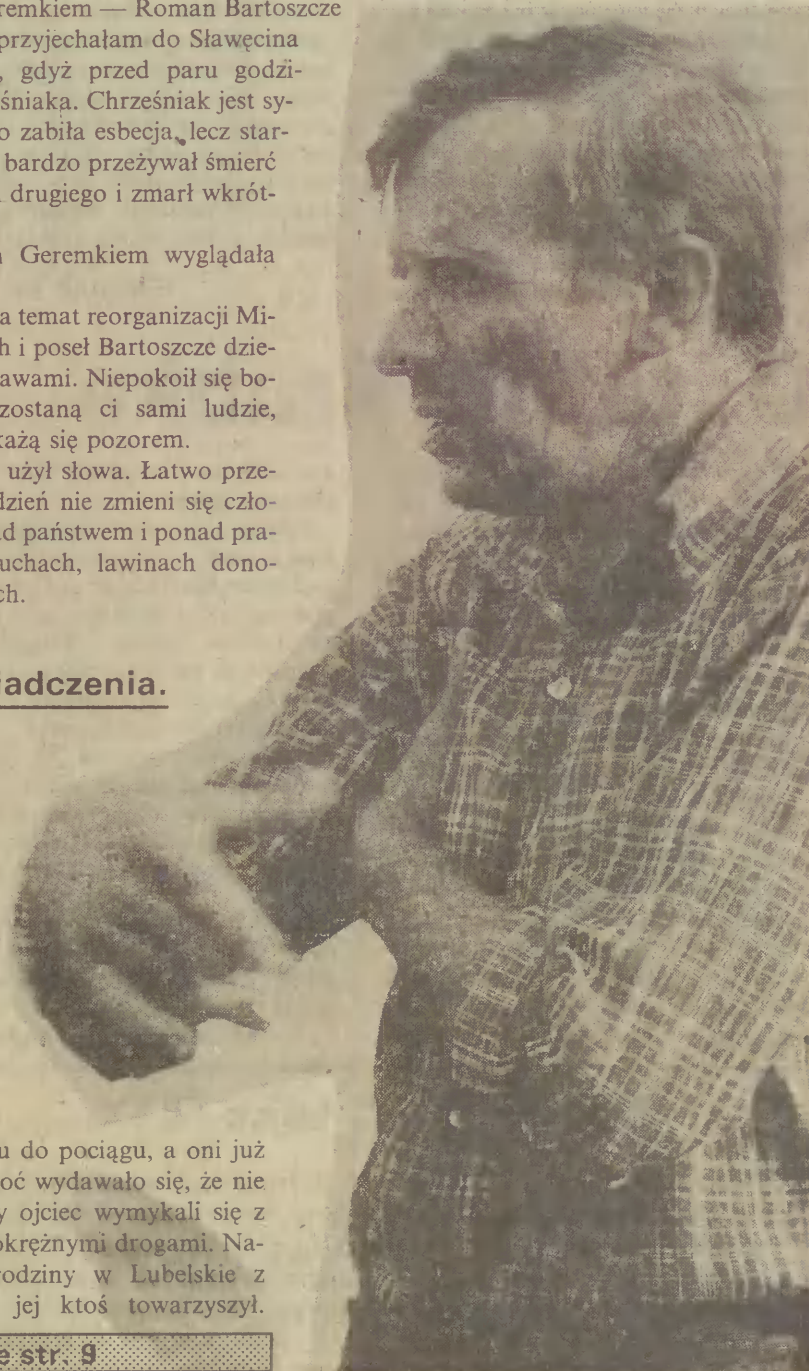
### z własnego doświadczenia.

Musimy wyjść przed dom, żebyśmy mogła zobaczyć, gdzie tu, w Sławęcinie, stała nyska. Stała w polu, w takim miejscu, by jej pasażerowie mogli obserwować równocześnie dom Romana i jego ojca Michała, z którym mieszkał Piotr.

Kto siedział w nysce dzień i noc całymi miesiącami — wiadomo.

Wsiadało się w Inowrocławiu do pociągu, a oni już byli w sąsiednim przedziale, choć wydawało się, że nie mogli widzieć, jak synowie czy ojciec wymykali się z domów i docierali na dworzec okreśnionymi drogami. Nawet gdy matka jechała do rodziny w Lubelskie z trzema przesiadkami, zawsze jej ktoś towarzyszył.

dokończenie str. 9







## Węzeł...

dokończenie ze str. 1

tu zaczęły owocować strajkami czynnymi w innych węzłach, do grupy dołączyli protektorzy chętni do zbiecia politycznego kapitału: Jurczyk — już oficjalnie, a także Miodowicz, Martyniuk i szefowie kolejnych federacji, którzy protest kolejarzy postanowili wykorzystać do złamania rządu. Miodowicz niezbyt nawet ukrywał, że chodzi mu o głowy co najmniej czterech ministrów (Balcerowicz, Dąbrowski, Kuczyński, Paszyński). W czasie rozmów przedstawiciele czterech central związkowych z rządem 24 maja w Warszawie Martyniuk sondował nawet możliwość poparcia „Solidarności” dla zmian w gabinecie Mazowieckiego.

Poparcia, oczywiście, nie otrzymał. Ale rząd i „Solidarność” znalazły się w bardzo trudnej sytuacji.

Rząd najwyraźniej zlekceważył ofertę prezydium Komisji Krajowej „S” z 22 maja do pośrednictwa w kolejowym konflikcie i jej ostrzeżenie o możliwości rozszerzenia strajków na cały kraj. Min. Kuroń powiedział ponoć, że do drugorzędnej związku (mowa o „Solidarności”) rząd nie będzie przyjeżdżał. Tymczasem konflikt się rozszerzył, zakłócił wybory samorządowe, a prawdopodobnie również wpłynął na ich wyniki. Rząd liczył na to, że uda mu się złamać opór kolejarzy „metodą thatcherowską” głównie — dzięki powszechnej wobec kolejarzy dezaprobatie społeczeństwa dotkliwie dotkniętego zastojem na torach. Wcale nie jestem pewien, czy druga nocna wyprawa Wałęsy do Słupska, która zakończyła strajk, jest tak do końca na rękę rządowi. Do momentu, gdy oddaję ten tekst do druku, w poniedziałkowe popołudnie, nikt z rządu nie uznał za stosowne zadzwonić do przewodniczącego „S”. Determinacja rządu w nieopuszczaniu żądaniom placowym była bowiem wyraźna. Tymczasem Wałęsa, wbrew temu co powiedział reporterowi tv o strajkujących „cywil bandach”, w rzeczywistości umożliwił równie zdeterminowanym kolejarzom honorowe zakończenie strajku. Był to gest zgodny z postulatami zgłaszanymi na nadzwyczajnym posiedzeniu Komisji Krajowej „S” w piątek 25 maja. Gremium to wezwało do zakończenia strajku i szybkich negocjacji płacowych — w pierwszej kolejności dla pracowników przedsiębiorstw użyteczności publicznej.

Obawiam się, że kolejarze rozpoczęli falę wstrząsów, która może ogarnąć inne grupy zawodowe. Kolejarze zarabiają mało i mają w swoich rękach niezwykle skuteczny argument nacisku. Pech chciał, że ten argument obrócił się przeciw Bogu ducha winnym ludziom, którzy zarabiają równie mało lub nawet mniej.

W efekcie nie uzyskali społecznego poparcia, a nawet wywołali przeciw sobie agresję. Nietrudno wyobrazić sobie inne grupy zawodowe, których strajki wywołają podobne reakcje. Coraz więcej ludzi traci bowiem nadzieję na lepsze życie. Mimo to — protest kolejarzy rząd powinien potraktować jako pierwsze poważne ostrzeżenie.

„Solidarność” natomiast powinna ograniczyć swoje poparcie dla rządu wyłącznie do pomocy w likwidowaniu pozostałości starego systemu. Afiszowanie jej mariażu z rządem najwyraźniej jej szkodzi. W kolejowym konflikcie widocznie się to dobitnie. Mogło przecież do niego nie dojść, gdyby zgłaszane wcześniej przez ogólny związkowe postulaty zmian strukturalnych na kolei „Solidarność” twardo postawiła rządom. I gdyby rząd, miast czekać na społeczny wybuch, zabrał się energicznie za wcielanie ich w życie.

To wszystko, co ostatnio przeżyliśmy, może się powtórzyć.

Jan Jakubowski

## Z DOLAREM PO KRAJU

Rozmowa z Anną Hejką-Arczyńską, wiceprezydentem firmy brokerskiej Burns Fry Hoare Govett Inc. w Nowym Jorku

— Przebywała pani prawie dwa tygodnie w Polsce na zlecenie dwóch amerykańskich firm. Jaki był cel tej wizyty?

— Instytucje te — Painewebber Asset Management i Scudder — zarządzają funduszami różnych przedsiębiorstw ubezpieczeniowych, bankowych itp., oraz osób prywatnych, w tym multimilionerów. Towarzysząc mi osoby przybyły do naszego kraju po raz pierwszy. Chciały przede wszystkim zbadać ryzyko polityczne dla zachodnich inwestycji w Polsce. Także poznać sytuację makroekonomiczną oraz zobaczyć w działaniu różne przedsiębiorstwa. Ponadto odbyć spotkania z kompetentnymi przedstawicielami polskich sfer polityczno-gospodarczych.

— Czy w nawiązaniu kontaktów z przedstawicielami naszego życia politycznego i gospodarczego napotkała pani jakieś problemy?

— Problemy? To była prawdziwa gehenna! Może trochę przesadzam, ale prawie wszystkie kontakty załatwiałam prywatnie. Dobrze, że jestem Polką i posiadam w kraju kilkoro przyjaciół, którzy mogli i chcieli mi pomóc. Od grudnia ubiegłego roku próbowałam z Nowego Jorku umówić się na różne spotkania za pośrednictwem instytucji oficjalnych. Z efektem niemal zerowym. Nie raz i nie dwa starałam się wykorzystać pośrednictwo Jerzego Kapuścińskiego, ministra pełnomocnego i radcy handlowego Biura Izby Handlowej przy ambasadzie RP w Stanach Zjednoczonych. Bez efektu. Kiedyś, gdy się zdenerwowałam brakiem jakichkolwiek skutków jego działalności, usłyszałam, jakby w formie przeprosin, że to z powodu... dużej kolejki osób takich jak ja. Sądzę jednak, że minister swoim postępowaniem po prostu blokował dostęp zachodnich biznesmenów do Polski.

— Może bezpośrednie sięgnięcie do oficjalnych osób w kraju ułatwiłoby starania...?

— Planowałam przeprowadzenie rozmowy z prof. Witoldem Trzeciakowskim. W grudniu wysłałam do niego list, potem dzwoniłam do jego biura

wiele razy. Bez skutku — na list do dzisiaj nie otrzymałam odpowiedzi. Pod nieobecność min. Trzeciakowskiego jego zastępca odsyłał mnie do innych instytucji, między innymi do Agencji do spraw Przekształceń Własnościowych. Tam pan Kozera — imienia, niestety, nie pamiętam — obiecał sprawnie zorganizować moją podróż po Polsce, ale... nie przez agencję. Przez swoją prywatną spółkę, za skromną opłatą 6 tys. dolarów! Oczywiście, serdecznie podziękowałam.

— Ciągle słyszałam, że taka to, a taka osoba jest niesłychanie zajęta reformami w kraju i nie będzie mieć dla mnie i moich klientów czasu. A to nieprawda. Już w Polsce docierałam jednak do tych ludzi w ciągu jednego dnia. Przyjaciele szli do sekretarki danej osoby, przedstawiali sprawę i prawie natychmiast dostawałam audiencję. Na takiej zasadzie odbyliśmy np. ważną rozmowę z Bronisławem Geremkiem, szefem OKP oraz z Jerzym Stępnim, przewodniczącym senackiej Komisji do spraw Samorządów Lokalnych.

Mimo tych początkowych trudności wyprawa do Polski była udana, bo wreszcie trafiłam na kompetentnych ludzi z firmy Marco Ltd. — Ireneusza Nawrockiego i Włodzimierza Kicińskiego. Trochę jeżdżę po świecie, więc mogę powiedzieć, że zorganizowali mi wiele spotkań w sposób naprawdę profesjonalny.

— Do kogo udało się pani dotrzeć?

— Każdego dnia mieliśmy średnio po pięć spotkań. W Ministerstwie Finansów z wiceministrem Januszem Sawickim, i dyrektorem Stefanem Kawalcem, z Lesławem Pałą — doradcą ds. prywatyzacji, z Maciejem Łukowiczem — prezesem Agencji ds. Inwestycji Zagranicznych, a także Jerzym Malcem, który zakładał bank z udziałem kapitału zagranicznego. Również z wiceprezesem Banku PKO i przedstawicielem Banku Handlowego. Spotkałam się z pracownikami Komisji Zagranicznej „Solidarności”. Odwiedziliśmy też wiele przedsiębiorstw: Zakłady Chemiczne „Oświęcim”, Hutę „Jedność” w Sie-

mianowicach, Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Żyrardów”, „Polmo-Zelmo” pod Warszawą, Biuro Polityki Handlowej i Usług „Intraco”, „Sport Tourist”, Meblarską Spółdzielnię Pracy „Dąb” w Gdyni...

— Jak wyglądały rozmowy przedstawicieli zachodniego biznesu i polskich dyrektorów?

— Różnie. Niektórzy Polacy wypadali zupełnie dobrze, choć widać było, że nie znają reguł gry, charakterystycznych dla gospodarki rynkowej. Szefowie innych przedsiębiorstw w ogóle nie wiedzieli o co chodzi. Nie potrafili konkretnie odpowiedzieć na najprostsze pytania. Z lepszej strony pokazali się pracownicy instytucji rządowych, ale tam rozmowy były bardziej ogólne, raczej o koncepcjach.

— Czyli do europejskiego standardu jeszcze daleko?

— Niestety. W Polsce są ludzie zdolni, ale przy przestawianiu gospodarki na inne tory trzeba się bardzo dużo uczyć. Polacy robią to szybko, jeżeli będą mieli bodźce. Obecnie ich nie ma. Za nabywanie nowych umiejętności nikt nikogo nie rozlicza. A za darmo mało komu chce się wysilać.

— Co w obecnych realiach gospodarczych uderzyło panią w Polsce najbardziej?

— Wysokie podatki. Wyjaśniono nam, iż chodzi o wykończenie słabych, nieefektywnych zakładów, o oczyszczenie sytuacji sprzyjającą likwidacji polskiego kapitału, celem wprowadzenia zachodniego. Firmy, które mają choćby 20 proc. kapitału zagranicznego otrzymują ulgi podatkowe. Więc wszyscy na gwałt szukają tego kapitału. Dla owych ulg!

— Czy pani zdaniem rząd wybrał dobrą drogę, zaczynając od walki z inflacją?

— Sądzę, że tak. Ale trudno nie dostrzec, że taka polityka doprowadziła do spadku produkcji o ponad 30 proc., czyli do poważnego zastoju gospodarczego. Rzecz w tym, aby nie przeszedł on w głęboką recesję. Układ jest bardzo

skomplikowany. Za zbyt ni pośpiech z jednej strony lub zbyt długie zastanawianie się z drugiej strony można drogę zapłacić.

— Była pani kilka dni w Budapeszcie. Rozmowy odbywały się na podobnym szczeblu. Jak porównałaby pani zaawansowanie reform w Polsce i na Węgrzech?

— Oni potrafią się lepiej reklamować. Dla mnie zawsze było bolesne, że w Nowym Jorku — w ogóle — na Zachodzie, panuje opinia, iż należy inwestować przede wszystkim na Węgrzech, w CSRS i NRD. Polskę i Bułgarię — o czym chyba mało kto w Polsce wie — traktuje się drugoplanowo. W gospodarce, w niektórych rzeczach, Węgrzy są przed nami — posiadają już np. giełdę, mają dobre, znane w świecie firmy. Ale sytuacja polityczna jest u nich mniej stabilna, nie będzie takiego poparcia dla rządu jak u nas, a w konsekwencji tak radykalnej reformy.

— Czyli w Polsce zachodni biznesmeni mogą lepiej zainwestować swój kapitał?

— Tak, to było dla mnie przyjemne zaskoczenie. Polska ma większy rynek wewnętrzny, większą ilość surowców i materiałów, dostęp do morza, lepsze linie kolejowe. Polacy są w stanie szybciej przystosować się do systemu rynkowego. Ale koniecznie musimy mieć na dużo wyższym poziomie telekomunikację. Bez błyskawicznych, bezpośrednich połączeń ze światem, bez telefaksów, nie będzie nikt u nas robił interesów. Wbrew temu wreszcie, co mi całe życie mówiono, poziom życia w Polsce wydaje mi się nieco lepszy.

— Jakie kwoty są gotowe zainwestować w Polsce firmy Painewebber Asset Management oraz Scudder?

— Pierwsza 20 mln dol., z 50 mln przeznaczonych na Europę Wschodnią, druga na razie 5 mln dol. To są sumy wyjściowe. Przy korzystnej ocenie sytuacji Amerykanie wyłożą zapewne więcej. Zainteresowani są przedsiębiorstwami, których akcje będą w przyszłości sprzedawane na giełdzie.

Rozmawiał: Włodzimierz Szymański

Mówi Jarosław Chołodecki, prezes chicagowskiej „Polisch — American Economic Forum”:

## POLSKA SKALA RYZYKA

Od amerykańskiego sekretarza handlu, Roberta Mosbachera Balcerowicz usłyszał szereg gorzkich słów na temat bagażu i niekompetencji z jakimi spotykają się amerykańscy biznesmeni pragnący inwestować w Polsce.

— Jednym z naszych celów jest szukanie i przesyłanie do Polski kapitałów małych — takich, które tworzą klasę średnią. Polska tej klasy nie posiada, nie ma tradycji. Tutaj jest rzemieślniczo albo wielki przemysł, a nie ma np. drobnego biznesu. I to jest bardzo trudny problem dla całej gospodarki.

Przy każdej okazji do kontaktów z przedstawicielami władz krajowych (a odwiedzają Stany Zjednoczone ostatnio bardzo często) wytykamy im niedociągnięcia w polityce rządu, brak wyczucia; piszemy, monitujemy, staramy się wymóc na nich lepsze warunki dla inwestowania kapitału z Zachodu.

Jest spore zainteresowanie naszymi ofertami z chicagowskiego biura, jednak Forum nie może sobie pozwolić na to, by oferować towar, który jest jakby wróblem na dachu. Tym towarem w przypadku naszej oferty mają być przede wszystkim jasne reguły gry w polskiej

gospodarce. A one wciąż jasne nie są. Dla człowieka, który przyjeżdża z Zachodu jasność tych reguł jest sprawą zupełnie fundamentalną i podstawową, ponieważ on ponosi wielokrotnie większe ryzyko, on ma do wyboru wiele rynków. Nie można tu porównywać decyzji inwestycyjnej kogoś zza oceanu, z decyzją inwestycyjną człowieka zwolnionego z pracy, który musi szukać dla siebie zajęcia. To jest zupełnie inna perspektywa. Tutaj jest przymus, a tam jest wolny wybór — istnieje ogromna gama możliwości. W związku z tym w kraju musi się zmienić myślenie na bardziej prorynkowe, proinwestycyjne.

Amerkański inwestor zawsze będzie porównywał warunki inwestowania w Polsce z warunkami inwestowania w Stanach Zjednoczonych — one nie mogą być gorsze niż tam. W Stanach Zjednoczonych nikt nie ubiega się o zgodę na działalność gospodarczą, tylko rejestruje swoje przedsiębiorstwo.



Fot. Dariusz Kula

Cały tryb biurokratyczny, który został w Polsce przyjęty, jest zatem od razu pewnym szkiem dla zachodniego inwestora. Cała ta procedura wypełniania różnego rodzaju aplikacji trwa niejednokrotnie pół roku i rok — te formalności całkowicie wyprowadzają kontrahenta z równowagi.

Poza tym, są bariery finansowe. Jest owe 50 tys. dolarów, które władze polskie bagatelizują; twierdzą one, że cóż

to za inwestor, który przyjeżdża tylko z 50 tysiącami lub mniej. A tu nie chodzi o kwotę — tu chodzi o zasadę. Jeśli ktoś przyjeżdża do Polski i chce inwestować, to przecież nie przyjeżdża tutaj po to, aby kogoś okradać, albo naciągać. Jeżeli istnieją jasne reguły gry, jeśli państwo potrafi ściągnąć od niego właściwy podatek, jeżeli ten człowiek nie będzie się zajmował produkcją tego, co jest wbrew intencjom rządu — to całe ryzyko spada przecież na jego barki. Niech zatem on decyduje, ile ma zainwestować.

Dla tych, którzy mają tutaj pewne swoje zasoby, ów próg finansowy nie stanowi większego problemu. Jednak dla większości jest to zupełny nonsens, bo ludzie posiadający w Stanach Zjednoczonych 50 tysięcy tak zwanego cashu, gotówki mogą natychmiast zamienić je na pół miliona. I mając te 50 tysięcy do zainwestowania mogą uzyskać na swoje projekty do 90 procent dofinansowania z banku. Oni porównują możliwości zainwestowania tutaj i tam, biorąc pod uwagę dużo większą skalę ryzyka w Polsce, często inwestują tam. I to jest fatalne. Bo warunki muszą być co najmniej amerykańskie.

Notował: Mariusz Popielarz



Dyskusje nad przemianami w Europie zdominowane są przez rozważania dotyczące: modelu ekonomicznego byłych krajów realnego socjalizmu, przyszłego układu sił politycznych i wojskowych, zasad tworzenia „wspólnego europejskiego domu”. Znacznie mniej uwagi, zwłaszcza w krajach postkomunistycznych, poświęca się kwestii „państwa opiekuńczego”, a więc bezpieczeństwu socjalnemu, polityce społecznej, zasadom podziału dochodu narodowego itp.

## KAPITALIZM bez pazurów

Pierwsze ogónoeuropejskie forum dyskusyjne na temat polityki społecznej („First European Dialogue on Social Policies”), jakie odbyło się w Helsinkach z inicjatywy Europejskiego Centrum Badań i Polityki Społecznej w Wiedniu, poświęcone było tym właśnie zagadnieniom.

Punktem wyjścia wspomnianego dialogu było przekonanie, że głównym problemem współczesności nie jest wybór pomiędzy totalitaryzmem czy demokracją, gdyż sprawy te zostały już przesądzone — lecz to, jakie należy tworzyć instytucje i mechanizmy aby zapewnić pomoc grupom słabszym oraz umożliwić im uczestnictwo w życiu przeobrażających się społeczeństw? Jest to tym ważniejsze, że żadna z dwóch głównych form organizacji ekonomicznej społeczeństwa — „centralizowany socjalizm” lub „rynkowy kapitalizm” — nie stworzyła zadowalającej relacji pomiędzy polityką społeczną i opiekuńczą funkcją państwa z jednej strony — a ekonomiczną efektywnością systemu z drugiej.

Jeszcze do niedawna w krajach zachodnich, właśnie w „państwie opiekuńczym” upatrywano optymalny model społeczeństwa, lokujący się gdzieś pomiędzy liberalizmem kapitalistycznym, a tradycyjnym socjalizmem. Ta pośrednia droga oznaczała połączenie sprawności i wydajności ekonomicznej układu gospodarczego z aktywną polityką socjalną państwa, z progresywnym systemem podatkowym i z demokratycznymi zasadami życia politycznego. Zdaniem wielu specjalistów, obietnica „pań-

stwa opiekuńczego” w społeczeństwach wysoko uprzemysłowionych nie spełniła się. Recesja ekonomiczna lat 70-tych, określana nieraz jako koniec „złotego wieku kapitalizmu”, doprowadziła do krytycznej oceny małżeństwa rynkowej ekonomii z interwencją państwową. Dziś dostrzega się wyraźne tendencje świadczące o odchodzeniu od tego modelu. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, gdzie coraz większy nacisk kładzie się na decentralizację i prywatyzację świadczeń socjalnych.

Wśród licznych krytyków pojawiają się powszechnie głosy wskazujące na konieczność poszukiwania nowej, trzeciej drogi rozwiązywania problemów ekonomicznych i socjalnych, uwzględniającej dotychczasowe doświadczenia.

Dyskusja nad przyszłością „państwa opiekuńczego” jest w istocie dyskusją o rynku i demokracji. Nie mamy zatem do czynienia z pytaniem o potrzebę istnienia opieki państwa, lecz z pytaniem o to, jakiego rodzaju ma to być państwo, na jakich zasadach oparty będzie rynek i jakie prawa obywatelskie tworzyć będą demokrację.

Uczestnicy spotkania helsińskiego dość zgodnie uznali, że są to główne problemy, przed jakimi staną kraje powracające dziś do Europy... Decyzje w tych kwestiach określą też przyszłe stosunki ekonomiczne Wschód-Zachód. Wielu sceptyków obawia się, że stosunki te mogą przypominać układ: Ameryka Łacińska- Stany Zjednoczone. Dlatego, aby uniknąć takiej sytuacji, należy tworzyć silne instytucje demo-

kratyczne, które będą regulowały proces kształtowania się gospodarki rynkowej. Potrzeba też odpowiedzi na kilka bardzo istotnych pytań szczegółowych: o wpływ zachodnich inwestycji w krajach postkomunistycznych na politykę społeczną; o możliwość tworzenia podobnych systemów socjalnych w krajach silnie różniących się pod względem ekonomicznym i kulturowym; o znaczenie opcji socjaldemokratycznych dla kształtowania się nowej postaci „państwa opiekuńczego”.

Zdecydowana większość specjalistów z krajów zachodnich (nie tylko europejskich) bardzo krytycznie odnosi się dziś do tendencji ograniczających rolę „państwa opiekuńczego” — zwłaszcza do stanowiska neoliberalistów, którzy w nadmiernie rozwiniętym systemie świadczeń socjalnych oraz w progresywnych zasadach podatkowych upatrują podstawowe ograniczenia mechanizmów motywacyjnych oraz efektywności ekonomicznej. Specjaliści z krajów postkomunistycznych natomiast znacznie większą wagę przywiązują dziś do praw gospodarki rynkowej, wolności i demokracji.

O odmienności stanowisk decydują tu nie tyle różne orientacje teoretyczne, co odmienny bagaż doświadczeń zdobytych w innych warunkach politycznych i gospodarczych. Warto przy tym zauważyć, że to kraje naszej części Europy dążą do kapitalizmu świata zachodniego, a nie odwrotnie. I że może warto bliżej przyjrzeć się doświadczeniom Zachodu w łagodzeniu drapieżnego kapitalizmu.

Brunon Synak

## Od biedy do pomocy

Rozmowa z psychologiem Januszem Gałęziakiem



— Od wielu lat kierujesz Ośrodkiem Rehabilitacji Narkomanów w Smażynie pod Wejherowem. Na początku kwietnia wygrałeś konkurs na dyrektora Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej w Gdańsku. Co skłoniło cię do ubiegania się o to stanowisko?

— Przede wszystkim możliwość wykorzystania doświadczeń, jakie dała mi kilkuletnia praca z ludźmi szczególnie potrzebującymi pomocy. Duże znaczenie miało również poparcie udzielone mi przez regionalne władze „Solidarności”, co przyjąłem jako formę uznania dla mojej dotychczasowej pracy. Poza tym, jeszcze przed konkursem, nawiązałem interesującą i owocną współpracę z grupą pracowników Zakładu Socjoeconomii Uniwersytetu Gdańskiego, którzy od kilku lat prowadzą badania nad ubóstwem. Wyrazili oni gotowość pomocy i chęć współpracy z Zespołem, co umocniło moją decyzję.

— Jesteś zwolennikiem zupełnie odmiennego, niż dotychczasowy, modelu pomocy społecznej...

— Przede wszystkim musi nastąpić jej indywidualizacja. Każdy przypadek jest inny i należy go rozpatrywać indywidualnie, żeby dogłębnie poznać

potrzeby dla danej osoby najistotniejsze. Ogromnie sformalizowany system pomocy, jaki funkcjonuje obecnie, jest wysoce nieefektywny. Musi być więcej swobody w dysponowaniu środkami, umożliwiającej szerszy niż dotychczas wachlarz świadczonej pomocy. Łączy się to z kwestią adekwatności świadczonej pomocy do potrzeb. Należy zaoferować tylko taką formę pomocy, która stwarza rzeczywiste szanse na rozwiązanie danego problemu lub sytuacji życiowej. Nie mogą zdarzać się przypadki, w których osoba wymagająca np. opieki przez kilka godzin dziennie, otrzymuje jedynie zasiłek pieniężny i w ten sposób odhacza się ją z listy potrzebujących. Trzecia, to zasada partnerstwa, według której potrzebujący i pomagający są partnerami i wspólnie ustalają program pomocy. Jest to rodzaj gry, w wyniku której powinien powstać kontrakt obowiązujący obie strony.

— Aby powyższe zasady wprowadzić w życie, musi nastąpić zmiana mentalności ludzi pracujących w pomocy społecznej. Jak to osiągnąć?

— Konieczna jest pewna selekcja pracowników, co przy obecnej sytuacji

## Śpiwór dla Urbana

Warunki życia pogarszają się. Zwykli ludzie narzekają, chwytając się coraz częściej zajęć, którymi pogardziliby zapewne jeszcze parę miesięcy temu. Łatają w ten sposób swój budżet domowy.

Politycy lojalnie ostrzegają, iż ubożenie społeczeństwa będzie się pogłębiać przez jakiś czas (trudny do określenia). Kuroń robi wiele, aby ochronić najsłabszych, ale zasadniczo czas państwa opiekuńczego się skończył i każdy musi radzić sobie sam, a przy okazji pomóc jeszcze bliźniemu.

Świadomość narastającego ubóstwa jest obecnie duża — i to dobrze.

### Polityka

Praktyka ukrywania problemów społecznych, tak częsta w poprzednich latach, prowadziła zawsze do ujemnych skutków, dając jedynie władzom krótkotrwałe samozadowolenie i poczucie panowania nad sytuacją. Niektóre zjawiska praktyki społecznej niezgodne z założeniami wiodącej ideologii, traktowane były przez rządzących PRL jako nieistniejące, choć faktycznie narastały w tempie zatrważającym. Oprócz ubóstwa można tu wymienić np. narkomanie, która jako problem również nasze-

go, ówczesnie socjalistycznego społeczeństwa uznana została dopiero w 1980 r. Następnym takim podejściem było całkowite ignorowanie tych zagrożeń, a co za tym idzie, niekontrolowany ich wzrost i generowanie nowych (np. znaczna ilość nosicieli wirusa HIV wśród narkomanów).

Powszechnie znana jest wypowiedź Urbana, który zapytany w trakcie jednej ze swych konferencji prasowych o problem ludzi bezdomnych, z właściwą sobie arogancją odpowiedział, iż w Polsce problem taki nie istnieje, gdyż statystyki GUS nie odnotowują podobnej kategorii. A szczególnym kuriozum była propozycja wysłania przez rząd (w ramach humanitarnej pomocy) transportu koców i śpiworów dla bezdomnych w USA, podczas gdy polscy rezydenci klatek schodowych, piwnic i poczekalni dworcowych musieli oczekiwać latami na miejsce w domu opieki społecznej lub schronisku, rzadko zresztą tam w końcu trafiając. No, ale skoro ich nie było?...



Fot. Maciej Kostun

### Nauka

Również nauka z powodu usztywnień doktrynalnych z trudnością torowała sobie drogę do jasnego sprecyzowania problemu badawczego, jakim jest kwestia ubóstwa, używając eufemizmów typu „niedostatek”, rozmydlających ostrość problemu. Problematyka ubóstwa, która w najbogatszych krajach Zachodu badana jest od wielu lat, posiada tam bogatą literaturę i wypracowane skuteczne środki przeciwdziałania, u nas nadal poruszana jest nieśmiało i tylko przez bardzo wąskie grono badaczy.

### A co w gminie?

Najbardziej niepokojący i szkodliwy jest jednak brak wrażliwości społecznej w małych środowiskach lokalnych, gdzie sytuacja życiowa mieszkańców i ich problemy powinny być bardzo dobrze znane ze względu na wielkość i charakter tych środowisk oraz bezpośredniość wzajemnych kontaktów (między miejscową władzą a społecznością).

Okazuje się, że i w tej skali ubóstwo nie bywa dostrzegane.

Przykładem może być jedna z najbardziej zaniedbanych i upośledzonych społecznie gmin w województwie elbląskim. Gmina Tolkmicko, która w badaniach regionalnych zaliczona została do obszarów depresji społecznej i zajmuje jedno z ostatnich miejsc w kraju pod względem poziomu i warunków życia mieszkańców. W 1988 r. ponad 43 proc. mieszkańców określiło swój poziom życia jako niedostatek i ubóstwo, a połowa przyznała się do sąsiedztwa lub znajomości z ludźmi żyjącymi w ubóstwie.

Szczegółowe badania tej kwestii prowadzone obecnie potwierdzają te opinie, dając obraz ubóstwa w skumulowanej postaci.

na rynku pracy wydaje się możliwe, ale zasadniczą rolę odegrać tu mogą szkolenia, których zadaniem byłoby przygotowanie pracowników do roli „menedżera” życia społecznego. Nie mogą oni być urzędnikami za biurkiem oczekującymi klienteli, ale raczej aktywnymi uczestnikami życia społeczności, które służy, współtworząc i organizując lokalne środowisko tak, aby obudzić w ludziach to, co najcenniejsze.

— Jakie widzisz główne kierunki działania?

— Przede wszystkim tworzenie samodzielnych ośrodków terenowych jako placówek podstawowych. Następnie uruchomienie wspomnianych szkoleń dla pracowników socjalnych. Kolejna sprawa, to zapewnienie sprawnego systemu obiegu informacji, zarówno wewnątrz instytucji, jak i na zewnątrz tak, aby możliwe było przekazywanie naszej oferty jednostkom i środowiskom potrzebującym wsparcia. Myślę tu o stworzeniu profesjonalnego biuletynu oraz czegoś na kształt ulotki informacyjnej zawierającej podstawowe dane o aktualnych możliwościach uzyskania pomocy oraz adresy i telefony kontaktowe. Konieczne jest również stworzenie możliwości elastycznego finansowania niekonwencjonalnych form pomocy, np. przekazywania biednym rodzinom nieodpłatnie sprzętu (maszyny do szycia, czy do pisania), który dzięki umiejętnościom członków rodziny może przyczynić się do poprawy jej sytuacji, nie tworząc trwałych uzależnień. Źródłem finansowania takich poczynań może stać się fundacja. Docelowo chcielibyśmy, aby Zespół mógł spełniać rolę sponsora dla realizacji interesujących pomysłów, mogących polepszyć życie społeczności lokalnych.

— Jaki zatem będzie twój pierwszy krok?

— Przede wszystkim muszę dobrze poznać możliwości tkwiące w obecnych kadrach pomocy społecznej, z którymi będę pracował. A poza tym, jak najszybciej podjąć pracę nad przygotowaniem rzetelnej diagnozy sfer niedostatku w województwie, choć wiem, że opracowanie takie wymaga dłuższego czasu.

— A czego obawiasz się najbardziej?

— Powodów do niepokoju jest wiele, ale najbardziej obawiam się tkwiącego w ludziach schematyzmu. Niechęć wobec zmian, wobec nowych, nie praktykowanych do tej pory rozwiązań, może utrudnić mi realizację pomysłów, z którymi tu przyszedłem i w skuteczność których wierzę.

15 kwietnia

Rozmawiał:  
Jerzy Boczoń

Natomiast w opinii miejscowego establishmentu (w 1989 r.) problem taki w ogóle nie istniał lub oceniany był jako marginalny, co w konsekwencji spowodowało brak działań mających na celu poprawę sytuacji. Większość badanych uznała, że istniejące formy pomocy społecznej są efektywne i wystarczające, co w sposób oczywisty miało się z rzeczywistością.

### A co samorządy?

Widać z powyższego, że nowe samorządy lokalne będą miały ciężki orzech do zgryzienia. Staną one wobec konieczności prowadzenia aktywnej polityki, zgodnej z kierunkiem przemian gospodarczych z jednej strony, a ratowaniem środowisk, które przez lata mniej lub bardziej świadomej polityki ograniczającej wszelką aktywność uległy szczególnej degradacji. Tym bardziej, że narastający już dziś problem bezrobocia najboleśniej dotknie małe ośrodki, w których często jedna firma posiada pozycję monopolisty na rynku pracy, a możliwości stworzenia innych miejsc pracy są bardzo ograniczone.

Wszystkich nas czeka ciężki czas, jednakże najtrudniej będzie przetrwać grupom najsłabszym. Od sprawnie funkcjonującego systemu identyfikowania i udzielania pomocy (nie tylko dawania) ludziom najbardziej potrzebującym może zależeć, czy kondycja, w jakiej przetrwają najcięższy okres, pozwoli im na samodzielne zapewnienie sobie i rodzinie godziwej egzystencji w przyszłości, czy też stoczą się na dno, grzęznąc w ubóstwie na długo.

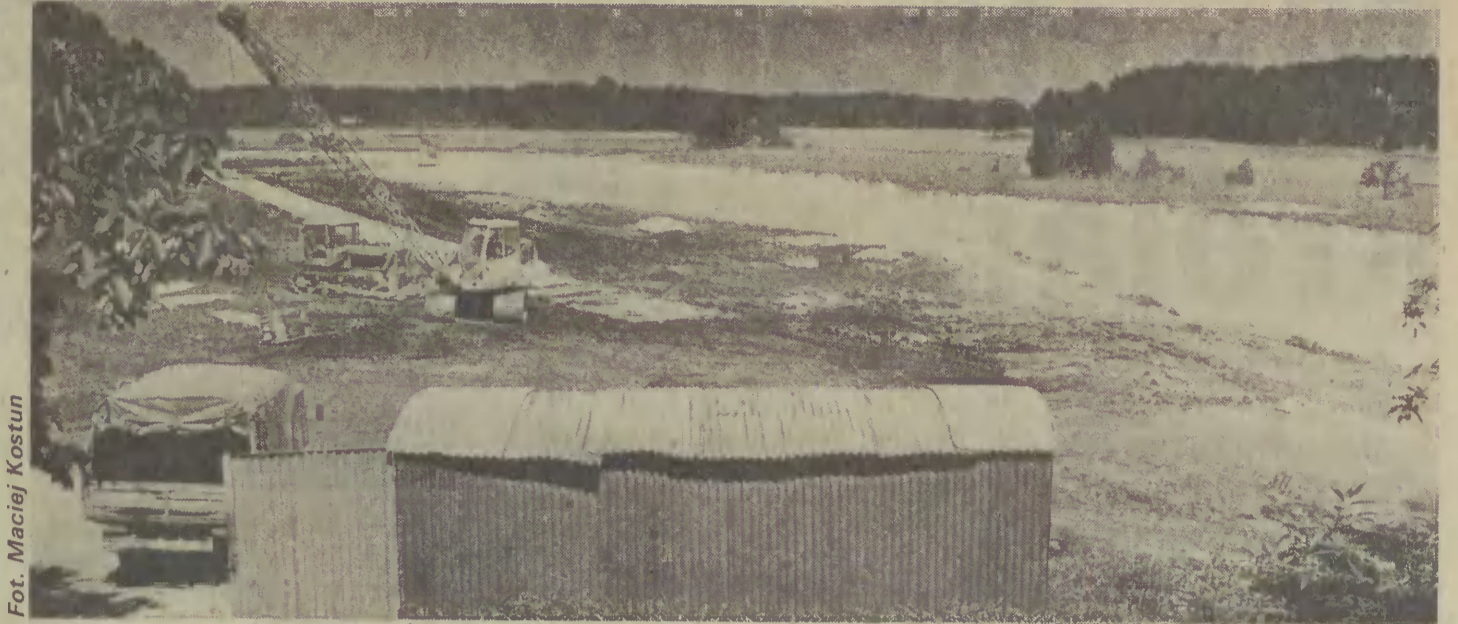
Czy nowe samorządy lokalne udźwigną ogrom problemów, które czekają na rozwiązanie?

Na razie pozostaje cieszyć się, że okres „rozwiązywania” problemów społecznych przez ich pr z e m i l c z a n i e mamy już za sobą.

Jerzy Boczoń

## Kopalnia odkrywkowa marglu nad najpiękniejszym jeziorem Borów Tucholskich

W środku strefy ciszy, u wrót ostoi zwierzyny (wstęp wzbroniony), pracują koparki, zdzierając torf i zagłębiając się w złoża. Po wybraniu zostają nieregularne, paskudne niecki wypełnione burą wodą. Pomiędzy nimi białawe, pustynne przestrzenie. Nocą huczą pompy odwadniające, umożliwiając dalsze prace w napoczętych już dziurach. Leśną drogę i ścieżki nad jeziorem rozjeżdżają i dewastują traktory.



Fot. Maciej Kostun

# WEJŚCIE SMOKA

### Wieś

Ocypel w gminie Lubichowo. Położona wśród lasów, nad jeziorem, piękna wieś kociewska. Stare drewniane domy, przedszkole i czteroklasowa szkoła, w jednej z zagród bocianie gniazdo. Nowy kościół. Ostatnio powstało wiele domów, z których część psuje niestety dawny styl wioski. Wieś odznacza się czystością, porządkiem, gospodarnością. Tylko pracowitość umożliwia budowę kościoła i domów mimo piaszczystych, słabych gleb. Społeczność Ocypła wydaje się zdolna do dbania o dobrze pojęte własne interesy i wrażliwa na wartość swojej małej ojczyzny: rodzinnej wsi i okolicy, Kociewia i borów. Tym bardziej dziwi obojętność wobec wydarzeń, które mogą tę ojczyznę zniszczyć. Bo niszczenie właśnie się zaczęło.

### Jeziro

Jeziro Ocypel Wielki, jedno z kilku, przez które przepływa Święta Struga, należy bezsprzecznie do najpiękniejszych w Borach Tucholskich. Rozbłyska wśród mieszanych lasów, ma jeszcze czystą wodę, ma wyspy, wkoło żyje moc zwierząt. Na północno-zachodnim, wysokim brzegu ukryły się w lesie ośrodki czasowe. Dla mieszkańców Trójmiasta, Teczewa i Starogardu Ocypel to przede wszystkim miejsce wakacyjnej idylli. Wczasowych i kolonijnych ośrodków jest może za wiele. Ale to nie one stały się kłeską okolicy.

Drugi brzeg jeziora jest niski i nieco podmokły. Między wodą a lasem rozpościera się szeroki pas zielonych, bujnych łąk. Ich żyzne, torfowe ziemie są po części wykorzystywane rolniczo. W najpiękniejszym miejscu, poniżej nadleśnictwa Ocypel, w pobliżu wyspy — siedziby bobrów oraz przy samym wejściu do ostoi zwierzyny, na najpłodniejszej ziemi otwarto kilka miesięcy temu odkrywkową kopalnię marglu, czy, jak mówią okoliczni ludzie, wapna. Służy ono jako nawóz na kociewskie pola. Tani nawóz: 1250 zł za tonę. W istocie jednak najdroższy jaki może być, bo otrzymany za cenę niszczenia okolicy tak pięknej, że śmiało mogłaby być uznana za park narodowy. Wody, lasy, sarny, bobry, mikroklimat i to bezbronne piękno — którego coraz mniej i które z wolna przestaje być wartością w Polsce ogarniętej od lat dewastacją i brzydota.

### Kopalnia

Kto chce zobaczyć, co znaczy kopalnia marglu i co znaczy — przynajmniej u nas — teren po eksploatacji, powinien pojechać do pobliskiej Siwiaki. Ale już to, co widać w Ocypelu, robi wrażenie. W środku strefy ciszy, u wrót ostoi zwierzyny (wstęp wzbroniony), pracują koparki, zdzierając torf i zagłębiając się w złoża. Po wybraniu zostają nieregularne, paskudne niecki wypełnione burą wodą. Pomiędzy nimi białawe, pustynne przestrzenie. Nocą huczą pompy odwadniające, umożliwiając dalsze prace w napoczętych już dziurach. Leśną drogę i ścieżki nad jeziorem rozjeżdżają i dewastują traktory. Wygląda na to, że już się wyniosły bobry, podobnie część ptactwa wodnego. Następni mogą być wczasowicze.

Jak dotąd, rozkopano cztery hektary łąk, ale planuje się rozbudowę kopalni. Zniszczona ziemia, dziury z wodą, spus-

toszony, ohydny pejzaż ze złego snu w środku żywego, zielonego świata — zostaną na zawsze. Może stać się nawet coś dużo gorszego. Wypełniające się wodą niecki osuszają teren. Może dojść do zachwiania całej wodnej i biologicznej równowagi najbliższej okolicy. Mogą wyschnąć łąki, mogą schnąć sosny na wzgórzach nad łąkami i może nawet zacząć wysychać jezioro, perła wód kociewskich z przewodników po Borach Tucholskich. Ocypel stanie się wtedy zupełnie nową atrakcją turystyczną — wzorcowym przykładem bezmyślnego niszczenia środowiska rabunkową eksploatacją, i to w czasie największych w historii Polski kampanii ekologicznych.

### Smok

Kopalnia należy do Spółdzielni Usług Rolniczych w Lubichowie. To jej



Fot. Maciej Kostun

szef, mgr inż. Edmund Dragon, od lat marzył o pozyskaniu ocyplejskiego marglu. Nie miał jednak ani pozwoleń, ani ziemi. Ocyplacy nie chcieli sprzedawać ziemi kółku rolniczemu. Dopiero rok temu odstąpił swoją łąkę młody gospodarz, lubiący zagłębiać do kieliszka i szykujący się do wyjazdu do RFN-u. Po nas choćby potop? Wieś niesie, że właściciel dostał pięć milionów, ale nie wymigrował, bo je przepił. Otwarło ją po cichu, bez konsultacji z mieszkańcami wioski, których bierność zresztą sprzyja inicjatywie Dragona. Margiel jest pożyteczny, to prawda. I kilku ludzi ma pracę przy nim (przeważnie są to ludzie

udzielił? Czy znowu jakiś urzędnik z za biurka, nieświadom, w jakim miejscu leży to wapno?

Na swoją działalność Spółdzielnia Usług Rolniczych uzyskała poważną dotację. W Ocypelu jedni mówią o kilkudziesięciu, inni o kilkuset milionach złotych. Skądinąd w Ocypelu za wiele się o tej kopalni nie myśli. Otwarło ją po cichu, bez konsultacji z mieszkańcami wioski, których bierność zresztą sprzyja inicjatywie Dragona. Margiel jest pożyteczny, to prawda. I kilku ludzi ma pracę przy nim (przeważnie są to ludzie

### Strzeżmy bory

Uważam otwarcie tej kopalni za skandal. Kto i dlaczego udzielał po kolei zgody, dlaczego przyznano fundusze na tę rabunkową i dewastacyjną działalność? Dlaczego nie interweniowali pracownicy służb leśnych i ekologicznych oraz ludzie odpowiedzialni za plany rozwoju przestrzeni?

Sprawa ma znaczenie szersze. Bory Tucholskie są jedną z rezerw ekologicznych Polski. Do niedawna dość dzikie, odludne, zapelniają się okropnymi budkami-dacjami, powstającymi nad każdym niemal jeziorem, a spacer po lesie i po składnicach drewna pokazuje, jak młodziutkie drzewa i jak piękny starodrzew idzie pod topór. Margiel zaś leży nie tylko pod ocyplejską łąką. Czy i gdzie indziej ma być eksploatowany w podobny sposób?

Okolica jeziora Ocypel posiada przy tym walory wyjątkowe i jest „strefą ciszy”. Czy nic jej nie chroni? Powinniśmy strzec borów, ich roślinności, wód, klimatu, całego środowiska, jak żrenicy oka. Są naszym wspólnym i wiecznie odradzającym się bogactwem, droższym niż kopalina, która w nich leży. Jezioro Ocypel jest naprawdę jakby okiem Borów Tucholskich. Nie dajmy tego oka wykluczyć kopalni Dragona — ani żadnym innym.

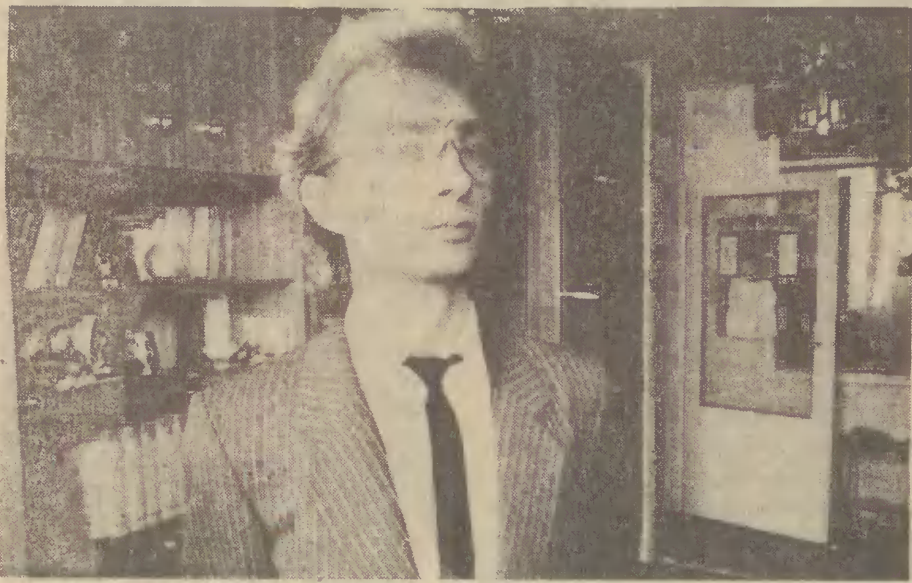
Kwiryna Ziemia



Fot. Maciej Kostun

# My chcemy króla!

Monarchiści są wśród nas. Pierwsi wykryli ten fakt milicjanci z patrolu, który pojawił się na zapowiedzianym wiecu Unii Polityki Realnej w listopadzie 1988 r. w Warszawie.



Artur Górski

Fot. Piotr Semka

W „tamtych czasach” wyciągnięcie każdego transparentu kończyło się w komisariacie na Wilczej. Gdy grupa młodych ludzi naciągnęła na kije płachtę z dewizą „Pro Fide, Rege et Lege”, dzielni stróżowie porządku byli przy nich po minucie. Spokój mącił jednak tajemniczy slogan. Zapytani o treść, młodzierni wiernie przetłumaczyli: „Za wiarę, króla i prawo”. Milicjanci ostrzegli, żeby „nie robić z nich jaj” i przewieźli ekipę na Wilczą, dodając, iż „szef zna łacinę i im przetłumaczy”. Na komendzie urządzono w końcu, iż dewiza nie godzi w system i sojusze i grupę zwolniono.

Wszystko zaczęło się jednak nieco wcześniej. W drugiej połowie lat 80-tych w warszawskim liceum im. Zamoyskiego, pod pokrywą nudy tętniło polityczne życie. Licealiści szukali swej politycznej tożsamości. Początkowo wszyscy spotykali się w kościele św. Andrzeja Boboli na Rakowieckiej. Potem nastąpiła polaryzacja.

Lider monarchistów Artur Górski (rocznik 1970), dziś student ATK:

— Z czasem zaczęły nas razić lewicowe poglądy, jakie rozpowszechniły się na spotkaniach. Stworzyliśmy kilkusobowe środowisko i razem docieraliśmy do publikacji myśli konserwatywnej II Rzeczypospolitej. Stopniowo doszliśmy do wniosku, iż jako konserwatyści musimy być monarchistami, gdyż idea królewska jest najbardziej konsekwentnym zwieńczeniem konserwatyizmu. 7 marca 1988 r. zawiązaliśmy Klub Zachowawczo-Monarchistyczny (KZM).

Klub nawiązał nazwą do ugrupowania polskich monarchistów, które powstało w 1925 r. w Warszawie, założone przez Hieronima hr. Tarnowskiego, Konstantego hr. Papée i Kazimierza M. Morawskiego. Najbardziej znanym sympatykiem idei monarchistycznej był w przedwrześniowej Polsce publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz. Monarchiści szerszych wpływów wówczas nie uzyskali. Wojna i lata PRL zredukowały możliwości działania monarchistów do zera.

Dziś idea odrodziła się. 10 stycznia br. w Warszawie oficjalnie zarejestrowano Klub.

## Dlaczego monarchia?

Działacze KZM są przekonani, iż tylko idea królewska może być zdecy-

dowanym elementem przełamującym „rujnąjącą kraj mentalność socjalistyczną”. Do niedawna takim elementem był liberalny kapitalizm. Monarchiści idą dalej.

— Tylko instytucja króla wyrwie kraj z politycznego zamętu — zaznacza prezes Górski. — Autorytet króla opiera się na prawie, tradycji i etyce. Król jako pomazaniec Boży popierany byłby przez Kościół. Jego kolejna zaleta to niezależność od partii i dziedziczenie tronu, co gwarantuje stabilność władzy. Król nie podlegałby parlamentowi, zaś sam powołalby zgromadzenie doradcze, którego część członków mianowałby sam. Zgromadzenie pełniłoby funkcję doradczą.

Wypada jednak zaznaczyć, iż rodzimi monarchiści nie pragną modelu monarchii spotykanego dziś np. w Skandynawii czy Wielkiej Brytanii. W biuletynie klubu „Pro Fide, Rege et Lege” (nr 8) czytamy: „dzisiejsze monarchie są monarchiami malowanymi. Królowie panują, ale nie rządzą”.

Polscy monarchiści pragną władcy posiadającego silną, realną władzę. Artur Górski zaznacza:

— Przykładem władcy aczkolwiek niekoronowanego zbliżonego do naszych koncepcji jest pani Thatcher — de facto głowa państwa o dużym autorytecie posiadająca realne atrybuty władzy. Inne pozytywne wzorce to gen. Pinochet — ideał naszego obecnego modelu prezydenckiego. Wiele pozytywnych cech znajdujemy też w stylu rządów gen. Franco czy przywódcy Portugalii gen. Salazara.

Tak więc idea silnego władcy jest dla KZM ważniejsza niż regalistyczne symbole.

„Głowa Państwa na razie wcale nie musi nosić miana króla. Umownie może to być na początek prezydent-regent. Chodzi o to, by spełniał on monarsze właściwości i prerogatywy”. Taki przejściowy prezydent w koncepcji monarchistów wybierany byłby co osiem lat przez Zgromadzenie Narodowe. Tylko w wypadku votum nieufności wybierano by kolejnego władcę. Ów prezydent-regent miałby nieograniczoną ilość kadencji. Monarchiści wskazują na projekty Reagana, który istotnie brał pod uwagę przeprowadzenie w Kongresie USA poprawek do konstytucji, pozwalających kandydować mu po raz trzeci.



Pismo Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego

## JESTEŚMY „SKAZANI” NA MONARCHIE

### Silna władza czy rządy tłumu?

Fascynacja silną władzą znajduje niekiedy całkiem niespodziewane przejawy. Górski tak ocenia obecnego prezydenta Jaruzelskiego:

— Mamy mu trochę za złe, że w 1981 uciekł się do metod siłowych, ale jednocześnie podziwiamy, że zrobił to w sposób tak mistrzowski, skuteczny, z tak minimalnym rozlewem krwi. Była to operacja, na której naród per saldo zyskał, bo przyczyniła się do zahamowania na pewien czas groźnych procesów destabilizacyjnych.

Działacze KZM wyraźnie deklarują, iż są przeciwnikami demokratycznych metod rządzenia państwem. W nr 6 „Pro Fide...” czytamy: „Złem demokracji jest oparta o teorię kontraktu społecznego zasada suwerenności ludu, przecząca suwerenności prawa moralnego z woli Stwórcy — negując nadprzyrodzone źródło autorytetu władzy”.

Monarchiści nie przepadają też za „Solidarnością”. W jednej z publikacji do czynników, które zrujnowały kraj, zaliczają obok komunizmu „anarchię i miraż demokracji”. We wspomnianym już wywiadzie dla „Kontrastów” Górski chłodno ocenia Wałęsę („nie ma on i zapewne nigdy nie będzie miał poparcia prawicy konserwatywnej”).

„S” budzi też sprzeciw, choćby z racji faktu, iż jest związkiem zawodowym, a związki godzą we własność prywatną, utrudniają bogacenie się, sieją nieporządek”.

Sprzeciw monarchistów budzą też partie polityczne (wprowadzają zamęt w życiu publicznym) oraz prawa wyborcze dla kobiet. Prawa polityczne winny zależeć od wysokości płaconych podatków: Ubodzy jako nieudacznicy winni być także odsunięci od wyborów.

— Społeczeństwu mówiono, że kluczem do dobrobytu jest demokracja. Kiedy zapanuje za sprawą wolnego rynku

Oczywiście w dziedzinie idei monarchistycznej można liczyć raczej na pułkowników, generalowie są zbyt obciążeni lewicową ideologią. Wojsko wśród sił politycznych poparcie może znaleźć tylko na prawicy. Tylko ona przygotowana jest na silną władzę, opartą na autorytecie, ponadto otwarta jest na armię. Aby zagwarantować trwałość antylewicowych przemian oraz by zalegalizować swe działanie, jedynym wyjściem byłoby ustanowienie monarchii. Drugi wariant wystąpi, gdy w parlamencie większość uzyska prawica konserwatywna. Droga wyposażenia prezydenta w coraz szersze prerogatywy można utworzyć grunt konstytucyjnego uchwalenia władzy królewskiej.

Kandydat na króla musi w opinii monarchistów przede wszystkim pochodzić z rodu arystokratycznego, być człowiekiem o dużym autorytecie i doświadczeniu politycznym — wreszcie winien mieć poparcie prawicy.

Monarchiści skłaniają się raczej ku kandydaturze Polaka (niemiłe doświadczenia historyczne z obcokrajowcami) oczywiście ożenionego z przedstawicielką któregoś z rodów europejskich. A że wybór jest duży, świadczy choćby pokazywany mi w siedzibie Klubu album stu pretendentów do tronu brytyjskiego — Romanowowie, Hohenzollernowie, Oldenburgowie.

Póki co KZM zastrzega się, iż nie jest partią polityczną. Jeden z działaczy mówi:

— Chcemy wychowywać ideowo, przyzwyczajając społeczeństwo do idei królewskiej. Do niej po prostu trzeba dorosnąć. Musimy oczyścić ideę konserwatywną z postępowych naleciałości. Chcemy tworzyć elity. Przygotowujemy naszych członków do działalności w ruchu prawicy konserwatywnej.

Na ile monarchiści wpłyną na oblicze prawicy? Na razie są aktywni. Nawiązują też kontakty z monarchistami zachodnioeuropejskimi. Pilnie obserwują Białą, gdzie stosunkowo poważnie brane są pod uwagę powrót króla Michała



Król rumuński z rodziną właściwie siedzi już na walizkach... Fot. Archiwum

dobrobyt, naród łatwo odwróci się od demokracji — stwierdza Artur Górski.

## Którędy do monarchii?

Oczywiście, prócz programu ideowego na dziś — wyposażania prezydenta w coraz szersze prerogatywy władzy, monarchiści mają też swoje programy co do sposobów ustanowienia monarchii. Artur Górski zaznacza: pierwszy scenariusz możliwy do przewidzenia rozwoju zakłada, iż reformy wprowadzane przez lewicę zalamują się. Wkracza wojsko.

na tron Rumunii czy cara Symeona w Bułgarii. KZM uczestniczył w sesji historycznej na KUL z okazji dwusetnej rocznicy promonarchistycznego powstania w Wandei we Francji. Monarchiści byli też współorganizatorami pierwszomajowego Kongresu Prawicy Polskiej. W gazecie kongresowej prezes KZM Górski zapowiada:

— Jesteśmy monarchistami, bo nie mamy zaufania do spauperyzowanych mas. Nasz dzień nadejdzie szybciej, niż się spodziewamy

Piotr Semka

# Osiem pustych tronów

Wygnańcy i uciekinierzy, abdykanci i banicy, władcy bez ziemi i ludów, rozproszeni po świecie lecz wciąż po ludzku związani z własnym krajem — choćby tylko wytrwałym marzeniem. O powrocie myślą (lub mówią, że myślą) w chęci ratowania ojczyzny, w pragnieniu służby dla niej, co jest łatwym motywem wobec upadku starego świata i gruntownych przemian w jego porządku. Z nostalgii wpadają w euforię, nadzieja podpowiada im, że dzień jutrzejszy zgasi szczydły uśmiech świata, przywróci blask ich życiu, stworzy im nową szansę.

Dziennikarz paryskiego „Le Figaro” wylczył ich na palcach obu rąk, co wydaje się niemożliwe jak na dystans czasowy, dzielący ich od opuszczenia tronów. Osiem pustych tronów, osiem chytrych przynęt, osiem widocznych szans.

Największą zdawał się do niedawna mieć król Michał rumuński (68 lat). Rekonesans przeprowadzony przez dwie z jego licznych córek pozwolił ustalić, że w Rumunii klimat jest sprzyjający. Wybierał się więc Michał na Wielkanoc, zawrócono go — można powiedzieć — już z drogi odmówieniem wizy. Święta w Rumunii przebiegały więc w rozgardiaszu dwóch opcji. Przeciwnicy Michała powielali transparentami „Nie chcemy króla”, a przeciwnicy przeciwników wypowiadali się nie wprost jako monarchiści, wóltując: „Komuniści do cerkwi!”

I tym razem Michał okazał się niefortunny. Wpierw w cieniu ojca Karola, potem w cieniu dyktatora Antonescu, sterroryzowany wreszcie przez Stalina — nadal musi czekać na „swoją chwilę” w królewskiej wili w Versoix opodal Genewy i myśleć raczej o handlowych sprawach swej amerykańskiej firmy. Jeszcze.

Wciąż aktywny politycznie arcyksiążę Otto von Habsburg (77), który po Anschlussie zrezygnował w 1938 ze swych austriackich praw dynastycznych, ale nie ze związków z królestwem Węgier, odwiedzał ten kraj wielokrotnie, nigdy nie odrzucając myśli o prezydenturze w demokratyzującej się rzeczywistości.

Król bułgarski Simeon (52), renomowany radca prawny i biznesmen w Hiszpanii uważa, że ma szansę na powrót do ojczyzny, gdzie „monarchia ciągle jest bardzo popularna”. Trzeba by dodać: byle nie w Żiwkowskim wydaniu.

Syn jugosłowiańskiego króla Piotra II — książę Aleksander — zrobił w Londynie karierę handlowca, kierując brytyjskim biurem greckiego armatora. Żywo kontaktuje się z jugosłowiańską diasporą na całym świecie i wydaje się być gotowy do objęcia steru pekającej pod nieobecność dynastii nawy wieloparostowej.

Leka I (50), syn zmarłego króla Albanii Zogu, mieszka w Afryce Południowej i nie traci nadziei, że zostanie powołany na tron albański, skoro tylko pod uderzeniem rewolucji runie podnózek samodzielną Alii w Tiranie.

Król Afganistanu Mohammed Zahir Shach (76), pięknoduch i esteta, spędza czas przy sztalugach i książkach, czekając w podrzymskiej wsi na szansę powrotu do skołatanej ojczyzny, może przy pomocy Rosji, której obecny prezydent słał już doń w tej sprawie wysokich posłów.

Król Grecji Konstanty II, który już w 1981 roku mógł — choć na krótko — wrócić do Karamanlisowej ojczyzny, nadal wiąże nadzieje z partią Nea Demokratia.

Głowa rodu Romanowów, arcyksiążę Władimir (72), spadkobierca czapki monomacha i Batuszka *in spe* wierz, że dana mu będzie szansa podniesienia Wschodniej z rozchwiania, choćby i bez Litwy, Łotwy, Estonii, Gruzji, Armenii, Ukrainy, Białorusi, Tadżykistanu i czego tam jeszcze.

Polityka nie zna słowa „nigdy”. A więc — pomarzyć nie wolno? Jeśli zaś świat ufudły między bajki włożył, to najlepiej powierzyć się Iwanowi Andrejewiczowi Krywlowowi, wydawcy także „Poczty duchów”.

Mam konia! Gdzie to królestwo?

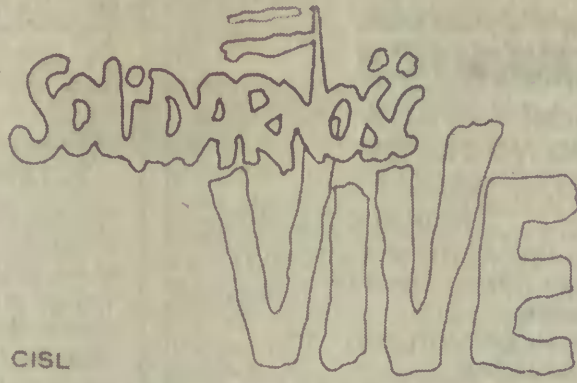
Parapetnik







Nazwy trzech central związkowych Italii wymienia się zwyczajowo jednym tchem: CGIL—CISL—UIL. I to nie tylko z okazji wspólnych uroczystości pierwszomajowych. Istnieje między nimi sieć wzajemnych powiązań konsultacyjnych i decyzyjnych, a na dokumentach o zasadniczym znaczeniu dla spraw pracowniczych (na przykład negocjacji zbiorowych) widnieją zawsze podpisy trzech sekretarzy generalnych.



# RAZEM, ALE OSOBNIE

Dla przybysza z Polski, pamiętającego CRZZ czy dziesięciomilionowej „Solidarności”, następnie zaś przepaść między OPZZ a odrodzoną „S”, fenomen włoskiego ruchu związkowego, podzielonego, a jednak zjednoczonego, z trudem mieści się w głowie. Ogólne założenia programowe trzech konfederacji w zasadzie nie różnią się między sobą: wszystkie deklarują poparcie dla demokracji, obronę praw pracowniczych, niezależność od państwa, pracodawców, partii politycznych itp. Co więcej, nawet ich struktury organizacyjne są zbliżone, terytorialno-branżowe, a nazwy i zakres branż pokrywają się niemal co do joty.

Po co więc trzy centrale? Historia włoskiego ruchu związkowego liczy blisko sto lat, będąc równocześnie historią różnych orientacji politycznych: socjalistycznej, komunistycznej, chadeckiej i innych. W przeszłości losy central zawsze związane były z losami partii politycznych, a mariaże i rozwody między nimi szły w parze z powstaniem i rozpamiętaniem się koalicyj rządowych i walką na arenie politycznej.

Zręby dzisiejszych włoskich potęg związkowych wykrystalizowały się w końcu lat czterdziestych. W przybliżeniu można powiedzieć, że CGIL reprezentował opcję komunistyczną, CISL — chrześcijańsko-demokratyczną, a UIL — socjaldemokratyczną. Etykiety te, choć mocno już zatarte, nadal



są im przyklejane. I chyba nie bez powodu. Prawdziwej jedności organizacyjnej nigdy nie udało się wypracować. Zrodzona w bólach w 1972 roku federacja CGIL—CISL—UIL, choć wiązana z nią nadzieje na powstanie wielkiego tarana związkowego, nie utrzymała się nawet przez dziesięć lat. Głównie z powodu zaszczości politycznych, ale również w związku z dynamicznym rozwojem ruchu branżowego, który dodatkowo rozsądzał molochową strukturę federacji. Jej ostateczny rozpad przypieczętował rok 1984, kiedy to zarysowały się skrajne rozbieżności w ocenie sposobu zwalczania inflacji. Kością niezgody stał się, znany u nas, problem redukcji

indeksacji płac. Dziś, gdy Włochy przezwyciężyły kryzys, jedność znaczy zupełnie co innego. „Walczymy razem, ale maszerujemy osobno” — tak parafrazują Clausevita w CISL. „Co trzy głowy to nie jedna” — to z kolei uwaga usłyszana w UIL.

Najsilniej do jedności prze CGIL, który jako najliczniejszy związek (ponad 6 mln członków, wobec niecałych 3 w CISL i mniej niż 1,5 w UIL) nie obawia się utraty tożsamości. Z drugiej strony nie dziwnego, że największe opory i obawy przed „połknięciem” ma najślabszy UIL, konfederacja mająca najnowocześniejszą wizję ruchu związkowego, lansowaną w programie

„związek zawodowy obywateli”. Chodzi w nim o dopasowanie się do realiów Europy 1992, oraz o wyjście związku z zamkniętego kręgu fabryk i zajęcie się tym wszystkim, co rozumiemy pod pojęciem walki o jakość życia.

Jedność, o której dziś się mówi, nad którą dziś się pracuje, to bardziej jedność akcji, przejawiająca się w wypracowywaniu wspólnej platformy partii politycznych, rządu i parlamentu, niż jedność organizacyjno-programowa. A więc solidarność ludzi pracy ponad ideologicznym zapleczem i pełen pluralizm związkowy (wspomnieć tu należy o po-

wszystkimi trzema centralami. Taki model, zaproponowany zresztą przez Włochów, utrwalili się w zasadzie od początku i bardzo naszej stronie odpowiada. Istnieją co prawda bilateralne umowy na szczeblu regionalnym, ale i one będą rozszerzone na formułę „trzech”.

W styczniu tego roku gościli w Gdańsku sekretarze zagraniczni wielkiej trójki. Widać było, że przyjechali do Polski z wcześniej ustaloną wspólną platformą. Nieliczne rozbieżności objawiały się raczej w formie drobnych uszczupnień — wprowadzających nieco luzu

do usztywnionej atmosfery oficjalnych spotkań — i nie stanowiły żadnego problemu.

Włosi mają znaczący udział w programie szkoleniowym MKWZZ. Od dawna zresztą oferowali samodzielną pomoc w tej materii. Dziś już na przykład wiadomo, że CISL sfinansuje, w ramach programu międzynarodowego, organizację ośrodka szkoleniowego „S” w Sopocie, kosztem około 600 tysięcy dolarów. Włosi zaproponowali również pomoc w komputeryzacji centrali „S”, a zupełnie niedawno gościli w Rzymie grupę dziennikarzy „Tygodnika Gdańskiego”.

Istnieje wielka potrzeba głębszego zrozumienia i, być może, adaptacji niektórych doświadczeń włoskich na grunt polski. Warto zwrócić uwagę, że tocząca się od miesięcy dyskusja dotycząca struktury „Solidarności” jest dla działaczy włoskich zupełnie niezrozumiała. Od lat bowiem, i to w sposób wysoce efektywny, funkcjonuje tam struktura mieszana. W jej ramach wszystko to, co dotyczy wielkiego obszaru związanego z umowami zbiorowymi, realizuje się w branżach, a to, co dotyczy świadczeń ze strony państwa, oświaty, służby zdrowia, podatków, transportu publicznego itd. — w regionach. Warto być może bliżej przyjrzeć się tym problemom — dotychczas bowiem strumień informacji płynął raczej znad Wisły nad Tybr, a nie odwrotnie.

Podstawą obecnej polityki „S” w aspekcie włoskim jest współdziałanie z

Adam Derewicz

# JAJKO W PORCELANIE

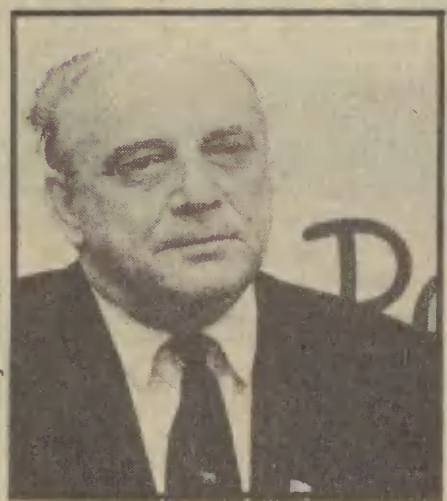
W Rydze nie sposób pominąć szczególnie intrygującego zespołu kamieniczek. To „Trzej bracia” — zrosnięte ze sobą od wieków trzy pięknie odrestaurowane przez polskich konserwatorów kamieniczki. Lewa, o najszcześniejszej fasadzie, zrównana frontem z najpotężniejszą — środkową. Prawa, nieco cofnięta, absolutnie asymetryczna, z piękną attyką. Niezwykły kaprys sztuki architektonicznej.

Skojarzenie z „Trzema braćmi” wywołał widok trzech przewodniczących Litwy, Łotwy, Estonii — trzymających się za ręce — szczęśliwych choć zatroskanych. Takimi zarejestrowała ich telewizja 12 maja, w parę chwil po reaktywowaniu Rady Bałtyckiej z 1934 r. powołanej traktatem, który wówczas pomagał trzem republikom zwalczać przeciwności.

Litwa, Łotwa, Estonia od paru tygodni zaprzatają uwagę polityków i czytelników. Tempo zdarzeń sprawia, że niełatwo się rozeznać, o co komu chodzi. Oczywiście bezdyskusyjny jest cel — powrót do niepodległej normalności sprzed wojny. Ważne jest jednak, jak do tego dojść. Wiadomo, że skorupkę już stłuczono, ale póki co, porcelana w którą jajko, bez jego ochoty zostało włożone, mocno trzyma.

Wielką pomyłką jest dość powszechny pogląd, że Litwa i Łotwa mają takie same problemy. Mój lotewski rozmówca — dr Jonas Bergholcas — prawnik z Rygi, mocno sarka na takie widzenie spraw. Widzi on bowiem zasadnicze różnice.

Litwa — proklamując niepodległość — za jednym zamachem unieważniła wszystkie prawa, stojąc na gruncie praw z czasów niepodległości. Łotwa, ogłaszając 4 maja deklarację o niepodległo-



Fot. Maciej Kostun

ści, przywołała na razie tylko trzy artykuły z konstytucji 1922 roku. Deklaruje okres przejściowy (oczywiście nie 5-letni jak chce Moskwa) w celu rozliczenia się z Moskwą.

Po drugie, Łotwa pragmatycznie ocenia sytuację międzynarodową. Widzi, że Zachód nie rwie się z uznaniem państwowości republik nadbałtyckich. W swoim pierwszym *exposé* premier Łotwy (wybrany 7 maja) — Janis Godmanis — powiedział, że za 5 milionów Bahtów świat nie będzie ryzykował destabilizacji.

Po trzecie, Łotwa ma zdecydowanie najgorszą sytuację narodowościową. O pół mieszka tam obecnie zaledwie 52 proc. Łotyszy, zaś w samej Rydze — mniej niż 40 proc. To koszmarny efekt polityki Stalina, widoczny nie tylko na Łotwie. Z dwóch milionów Łotyszy w 1940 r. dziś mieszka na Łotwie milion trzysta tysięcy. Jest jeszcze emigracja lotewska — około 200 tys. rozsiadanych za granicą. I w tej emigracji ogromna nadzieja Łotyszy. Czy fakt, że pani

Frajberg — minister sprawiedliwości królestwa Szwecji jest rodowitą Łotyszką — nic nie znaczy?

Nie możemy zapominać, jaką pozycję gospodarczą miała Łotwa przed wojną. Był to jeden z najszybciej rozwijających się małych krajów europejskich, wyprzedzający Litwę i Estonię. Mało kto wie, że lotewskie rezerwy złota (10 ton) nadal znajdują się w depozytach banków Francji, Anglii i USA. Chociaż Anglicy, dzięki Kosyginowi, część tych rezerw „wylasowali”. Otóż były premier, ciepłą rączką, odstąpił część tego złota za odszkodowania dla angielskich posiadaczy, którzy utracili swój majątek na Łotwie po 1940 roku. Intrygujące, że pierwszymi, którzy ten majątek skonsumentowali byli Niemcy, okupujący Łotwę przez cztery lata.

Sposób działań władz Łotwy wskazuje na dużą sprawność dyplomatyczną. Bo jeśli na 201 miejsc w parlamencie — 136 obsadza Front Narodowy (odpowiednik litewskiego „Sajudisu”) przy tak niekorzystnej sytuacji narodowościowej, to dobrze świadczy o taktycznych zdolnościach polityków lotewskich. Jednocześnie druga znacząca siła — „Interfront” (57 miejsc) nie śpi. Odstawieni oficerowie — jak ich nazywają — ronią krokodyle łzy nad jednym z trzech regionów Łotwy — Latgale. Mieszka tam obecnie 70 proc. Rosjan, więc wołają poprzez swoich „frontowców” o referendum.

Latgale — obok Vidzeme i Kurzeme — stary region historyczny Łotwy, w którym w 1772 roku było 800 Rosjan (podaje za prof. Stroda), ma drogą referendum wybierać lotewskość. To tak, jakby w Wielkopolsce wymienić 70 proc. ludności i zrobić referendum — czy chce być polska? Latgale — to region,

który przed wojną graniczył z Polską. Który maturzysta wie, że mieliśmy stu-kilometrową granicę z Łotwą? I to granicę przyjazną, czego o Litwie do końca powiedzieć nie można. Może dlatego nasza rodaczka, pani Ita Kozakiewicz wywalczyła fotel w parlamencie. Swada i przebojowość pani Ity przekonała nie tylko wyborców. Jej wystąpienie — piękną polszczyzną zachwycało premiera Mazowieckiego w czasie pamiętnego spotkania z Polakami w Moskwie.

Dr Bergholcas także wielce sobie ceni panią Kozakiewicz. Nie jest to jedyny polski trop na Łotwie, któremu warto oddzielnie poświęcić uwagę. Przecież rada miejska Rygi podobnie jak rada Gdańska, złożyła Zygmuntovi Augustowi przysięgę wierności.

Pytam dr. Bergholcas, jakie widzi zagrożenia na drodze do normalności.

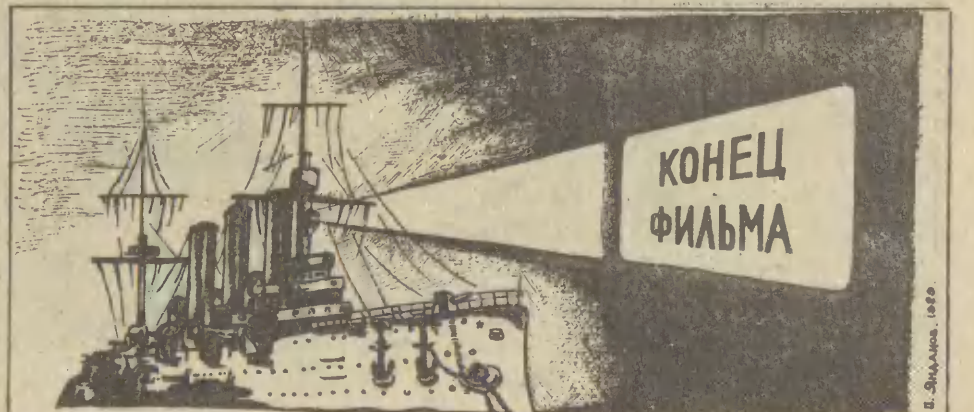
— Widzę trzy warianty — mówi. — Pierwszy — powtórzenie rozwiązania litewskiego — blokady ekonomicznej. Będzie to dla Moskwy trudniejsze. Trzy republiki współdziałały ze sobą. Poza tym przez Rygę, Ventspils — dwa największe porty — idzie eksport radziecki na Zachód. Mamy rozwiniętą radio-technikę, przemysł lekki, spożywczy. Wariant drugi — rządy prezydenckie: rozgonienie parlamentu, odstawieni oficerowie z „Interfrontu” rządzą Łot-

wą. Ile czasu to wytrzyma? Wariant trzeci — tanki, koniec Gorbaczowa i pierestrojki. Jest jeszcze wariant czwarty, ale mało konkretny. Ujawnił go Gorbaczow w czasie rozmowy z prof. Biszersem, osobą numer dwa w Narodowym Froncie. To bliżej niesprecyzowana idea konfederacji. Wolelibyśmy dyskutować o tej idei z pozycji niepodległego państwa.

Póki co, intensywnie działa Komitet Obywatelski z zarejestrowanymi siedmiuset tysiącami rdzennych Łotyszy. Każdy obywatel republiki (Rosjanin czy Litwin) może zostać kandydatem na Łotysza. O ile spełni określone warunki (język, uznanie praw sprzed 1940 roku).

Ryga, stolica Łotwy, bogata jest w pomniki-symbole. Oprócz pięknego Pomnika Wolności z 1935 roku, przed którym wciąż leżą świeże kwiaty (jeszcze rok temu ich położenie było równie ryzykowne jak pod Pomnikiem „Solidarności”) jest też ogromny granitowy pomnik „Czerwonych Łotewskich Strzelców”. Zrosnięci ze sobą plecami mają przypominać, że to oni stanowili osobistą ochronę Lenina, ratując go z życiowej opresji. Lenin uznał niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii. Stalin „naprawił” imperialny błąd wodza. Jaka drogę obierze Gorbaczow?

Adam Tomaszek



**Neptun**  
Sklep Nr 27 z siedzibą  
Gdańsk-Wrzeszcz ul. Gojawicyńskiej 1,  
**oferuje do sprzedaży**  
artykuły tekstylny-odzieżowe oraz wszelki sprzęt techniczny  
jak RTV, gospodarstwa domowego, komplety kluczy, wiertarki, itp.  
w prowadzonym stoisku komisowym  
działającym na zasadach ogólnych. W-161(1)

**CONSERVICE**  
**SPÓŁDZIELNIA PRACY  
ROBÓT PODWODNYCH**  
80-531 Gdańsk, ul. Sucha 15,  
tel. 43-26-10, 43-26-20 tlx 513141 CONSE pl  
Dysponujemy wysokokwalifikowanymi  
zespołami nurków i płetwonurków  
Przyjmujemy do wykonania:  
— prace podwodne w pełnym zakresie  
— roboty hydrotechniczne  
Terminy realizacji, cena, warunki płatności do uzgod-  
nienia K-131 (2)



**Kto ważniejszy?**

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” w gdańskiej Stoczni Północnej nie może znaleźć właściwej płaszczyzny porozumienia z Radą Pracowniczą. KZ to przeważnie młodzi stażem działacze związkowi; oczywiście, zasług kombatanckich z okresu działalności podziemnej mają sporo, ale wprawy w jawnej działalności niestety mało. Rada Pracownicza to być może przeżytek; ulegnie zapewne likwidacji jak tylko stocznia będzie miała właściciela. Dziś jednak, przed przekształceniami własnościowymi, a w czasie prób nieuczciwego bogacenia się kosztem stoczni, ten „przeżytek” jest bardzo potrzebny.

Rada także składa się z nowych działaczy, którzy przed 1989 nie chcieli radzić i popierać, bo i tak o wszystkim decydowała przewodnia siła „nieboszczyki”

Zasiedli więc przy różnych stołach serdeczni koledzy, znający się jak lyse konie. Nie raz i nie dwa, mówiąc „Ojciec nasz” w św. Brygidzie, trzymali się za ręce. Zdawało się, że czego, jak czego, ale zgody nie zabraknie. Tym bardziej, że problemowo pełno i każdy powinien szukać swojej dziedziny, by robić tyle, na ile go stać. Tak się jednak nie stało. Wszyscy nagle potrzebowali sukcesu, zaczęto więc sobie wzajemnie przeszkadzać. Między współpracujących od dawna przyjaciół wkroczyła zawiść.

Działacze Komisji Zakładowej „S”, zadróżnie patrząc na sukcesy Rady, próbują torpedować wszelkie jej inicjatywy, bez względu na wagę. Doszło wręcz do paranoi-cznych zagrywek, że jeśli Rada Pracownicza zdecyduje się zwalczać czerwone złodziejskie kliki, to komisja „S” wystąpi w ich obronie. Wobec tego Rada traktuje Komisję z lekceważeniem i szyderstwem. Jeśli Komisja uchwali, że danym problemem powinna się Rada zająć w pierwszej kolejności, to ta na pewno się nim nie zajmie. Koło się zamyka. Działacze obu organizacji dostali bzik.

Ostatnio doszło do nieprzyjemnego incydentu. Obydwa związki i dział plac przygoto-wały podwyżkę połączoną z „regulacją” plac. Pracownikom wydziałów pomocni-czych przewidywano podwyżkę około (po-daję z dużym przybliżeniem) 200 tysięcy, pracownikom biurowym — 150 tysięcy, konstruktorom — od 10 do 50 tysięcy, a produk-cyjnym od minus 300 do plus 50 tys. zł. Są też tacy pracusi co stracili dużo więcej. Rada Pracownicza odrzuciła tę propozycję, żąda-jąc kompleksowego i solidnego uregulowa-nia plac w stoczni. Wskutek nacisków ze strony pracowników i związków postano-wiono za tydzień znów radzić nad możliwo-

ścią jak najszybszego wypłacenia pieniędzy. I wtedy Komisja Zakładowa podała przez głośniki komunikat nakazujący radnym zrzeszonym w NSZZ „Solidarność” gło-sować za projektem, bo w stosunku do niezdy-cyplinowanych wyciągnięte będą surowe konsekwencje, zgodnie ze statutem. Przy dwóch głosach przeciwnych zatwierdzono niepoważną „podwyżkę”.

Kiedy już było po wszystkim, przewod-niczający Rady i członek Komisji w jednej osobie postawił wniosek, aby KZ wycofała się z uchwały robiącej z radnych manekiny do podnoszenia rąk. W tajnym głosowaniu za wnioskiem głosowało 6 osób przeciw 19. Co za naród, co za ludzie.

**Wawrzyniec Rozenberg**  
członek KZ i RP Stoczni Północnej  
w Gdańsku

**Rakowski wraca!**

Szanowna Redakcjo! Piszę do was szcze-rze oburzony wystąpieniem p. Rakowskiego w jednym z wydań „Interpelacji”. Co za pewność siebie! Niemożliwe! Ludzie, trzy-majcie mnie! Do dziś nie mogę uwierzyć w to co usłyszałem! Ten człowiek miał na wszyst-ko wytłumaczenie. On nie czuje się winny! Sądzi, że dobrze robi!

Oburzyło mnie gadanie o dojrzeniu przywódców „Solidarności”. Przecież ten pan nie dorównuje dzisiaj żadnemu z nich. Dowodem będzie spotkanie z Lechem Wałę-są. Tak to jest, jak traci się autorytet i grunt pod nogami to leci się do Lecha! Z niezwykłą pewnością był I sekretarz PZPR chwałił się, że głosowało na niego 8 milionów ludzi i że to coś znaczy. Ale to nie pomogło...

Przyznaje się, że i ja byłem jednym z nich! Głosowałem na p. Rakowskiego, bo sądzi-łem, że coś chce zrobić dla kraju. Nie wie-działem wtedy nic o pamiętnym spotkaniu w Stoczni Gdańskiej, bo w 1983 roku miałem zaledwie 13 lat. „Tygodnik Gdański” ot-worzył mi oczy i rozum. Do dziś więc biję się w piersi powtarzając „moja wina, moja bar-dzo wielka wina...”

Piszę do Redakcji „TG”, bo swego czasu wydrukowaliście artykuł ukazujący bezczel-ność p. Rakowskiego.

**Krzysztof Mączkowski**  
Wolsztyn

**80 lat  
harcerstwa**

Zbliżający się rok 1991, z trzema bardzo ważnymi dla Narodu Polskiego wydarzania-mi: dwusetną rocznicą uchwalenia Konstytu-cji 3 Maja, III Pielgrzymką Ojca Świętego Jana Pawła II oraz sierpniowym światowym spotkaniem młodzieży w Częstochowie, dla harcerstwa będzie rokiem jubileuszu. Będzie-my obchodzili 80-tą rocznicę działalności ruchu harcerskiego. Jesteśmy przekonani, że właśnie wtedy potrzebna będzie harcerska służba społeczeństwu, najlepiej wyrażona przez podjęcie wielu ważnych i konkretnych zadań. Komendant Mazowieckiej Chorągwi Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej ser-decznie zaprasza instruktorki i instruktorów ze środowisk i organizacji harcerskich całej Polski na spotkanie organizacyjno-programowe w Warszawie 2 VI br. w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła, ul. Chłod-na 9 o godz. 11. Zebranie poprowadzą druh harc. HR Waldemar Piotrowski.

harc. HR  
**Krzysztof Kepal**  
Pruszków

**Panie Lechu,  
pomocy!**

Trzykrotnie odwiedzaliśmy pana i za każ-dym razem sugerował pan, żeby zwrócić się do niego o pomoc, jeżeli takiej będziemy potrzebować. Obecnie mamy poważny pro-blem z panem dyr. Jesionkiem z Nadbałtyc-kich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Ne-ptun” w Starogardzie i nie możemy należycie wykonywać swojej pracy. Pan ten chce nie-galnie wymusić od nas pieniądze do swojej własnej kieszeni. Żąda od nas 1 proc. od całego eksportu dla siebie. Od momentu, kiedy odmówiliśmy, stara się zablokować cały interes. Nasi klienci rezygnują z zamó-wień, w rezultacie czego, bez naszych zamó-wień, zakład „Neptun” może zbankrutować. Mamy oryginalną odręcznego listu p. Jesion-ka z prośbą o te pieniądze.

Czy może nam pan pomóc? Czy możemy spotkać się z panem w przyszłym tygodniu? Czy może nam pan zasugerować prokuratora w Gdańsku?

Starzy komuniści przynoszą wstyd pode-jmowanym przez pana wysiłkom, jakie poczynił pan wśród zagranicznych inwestorów. Powiadomiliśmy ambasadę kanadyjską o wszystkich tych fałszywych oskarżeniach i obawiamy się fizycznego niebezpieczeństwa, kiedy będziemy w Starogardzie w przyszłym tygodniu (prosimy o zapewnienie, że nie nam nie grozi).

**Spółka „Silfa”**  
Kanada

**UWAGA  
PRZEDSIĘBIORCY!**

**Czytelnicy  
„Tygodnika Gdańskiego”  
CZEKAJĄ**

na Państwa ogłoszenia i reklamy.

Informacji udzielają i zlecenia przyjmują:  
administracja „TG”, tel. 31-76-12  
★ Biuro Ogłoszeń i Reklam firmy  
**BALTIC BROKERS S.A.**

Gdańsk, ul. Hewalusa 11  
tel. centrali 31-16-31 lub 31-68-21  
wewnętrzny 150 lub 200

**SKLEP BRANŻY FOTOGRAFICZNEJ  
SKUP — SPRZEDAŻ — KOMIS**  
Gdańsk, ul. Garncarska 30  
**OFERUJE:**

**Wszelkie materiały i urządzenia  
do fotografii.  
Papier fotograficzny i chemikalia  
firmy „TETENAL”**

**ZAPAMIĘTAJ!**

**FILMY ZAKUPIONE W NASZYM  
SKLEPIE WYWOŁUJEMY  
BEZPŁATNIE!**

Ka-143

OGŁOSZENIA BEZPŁATNE		POSZUKIWANI PRACOWNICY	
ZAWÓD, STANOWISKO	WYMAGANIA, UWAGI	FIRMA	ADRES, KONTAKT
Murarze	akord, praca w delegacji	BUDOMAX sp. z o.o.	80-227 Gdańsk ul. Hibnera 16 tel. 41-34-23
Główny księgowy		BIMES Spółdzielnia Osób Prawnych Zakład Konstrukcyjno- Technologiczny	80-232 Gdańsk ul. Matejki 12A tel. 41-76-04
Technolog	branża metalowa i narzędziowa		
Kierownik produkcji	branża metalowa		
Akwizytorzy ubezpieczeniowi		Spółdzielcze Towarzystwo Ubezpieczeniowo- Reasekuracyjne POLISA	Oddział w Gdańsku ul. Elżbietańska 10/11 tel. 31-70-31
Opiekunka zwierząt	umiejętność obchodzenia się ze zwierzętami	Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt „Ciapkowo”	Oddział Miejski TONZ w Gdyni, ul. Świętojańska 55/2 tel. 20-98-02 (w godz. 13.00—16.00)
Murarze		COMPLEX Przedsiębiorstwo Budowlano- Remontowe S. C. M. Bialek — A. Wasilewski	80-290 Gdańsk ul. Reymonta 34/39 tel. 47-70-24 (w godz. 8.30—21.00)
Tynkarze	Na terenie Gdyni i Gdańska		
Posadzkarze			
Elektromechanicy	Konserwacja sprzętu budowlanego		

**STUDIO  
AUTORSKIE**

80-171 Gdańsk  
ul. Matcużyńskiego 46

grafika użytkowa · projekty & druk

etykiety samoprzylepne, wizytówki, papiery firmowe,  
koperty, plakaty,  
zaproszenia, nadruki na różnych materiałach

**Romani**  
PRODUCT OF HOLLAND

**GLO-FIX**

**750 ml**

- PODWÓJNIE ZAGĘSZCZONY
- PODWÓJNIE WYDAJNY
- BAKTERIOBÓJCZY
- NIESZKODLIWY DLA ŚRODOWISKA
- ZE SPECJALNYM DOZOWNIKIEM UMOŻLIWIAJĄCYM ZWALCZANIE BRUDU W NAJBARDZIEJ NIEDOSTĘPNYCH MIEJSCACH
- NIJE NISZCZĄCY SZKLIWA
- DAJĄCY NATURALNY, STAŁY POŁYSK
- SPECJALNIE ZABEZPIECZONY PRZED DZIEĆMI
- ODWAPNIAJĄCY
- NIE ZAWIERAJĄCY KWASU SIARKOWEGO

**NIKTÓRE SKLEPY SPRZEDAJĄCE NASZE TOWARY**

Sklep NORK Gdańsk ul. Łąkowa 52  
Sklep AGD NORK Gdańsk ul. Łągowiki 3944  
PSS „Społem” Sopot ul. Cieszyńskiego 24  
Sklep LIDER Olsztyn ul. 3 Maja  
GS „Sch” Wiejski Dom Towarowy w Zblewie  
Przedsiębiorstwo Wielobranżowe „Barbex” sp. z o.o. w Gniewie  
GS „Sch” Sklep Drogerijno-Chemiczny ul. Wybickiego 6 w Pelplinie  
1001 Drobiazgów PALUCH pl. 1 Maja 10 w Kościerzynie  
GS „Sch” Sklep SUPERSAM nr 1 w Żukowie  
Sklep FORMAT pl. 1 Maja 31 w Starogardzie Gd.

**Informacji o produktach udzielają:**

FARYMEX Jelenia Góra tel/fax 23-557 ul. 1 Maja 25	PHU LIDER Gdańsk ul. Wały Piastowskie 1 tel. 37-46-36	PP „JAN” ul. Długa 20 83-260 Kaliska tel. Gdańsk 41-45-91 w godz. 16-20
--	--	---

BB 001(3)

## SZCZURY

# PRYWANIE WAKWENIE

## WYBRANE WIADOMOŚCI Z CENTRALI SOLIDARNOSCI

Ludzie „Solidarności”, zdobywszy ponoc władzę, przyjęli generalną zasadę, by nie wyciągać z szuflad „rachunków krzywd”, czyli nie mścić się na tych wszystkich szczurach, które trudno nie raz nazwać Polakami. Szczury przez dziesiątki lat inwigilowały, łamały charakter i zebra, rozkradały majątek narodowy. A teraz cichaczem przesiadują po kotłowniach, paląc dokumenty — dowody swej głupoty i draństwa.

Do Janiny Wehrstein, szefowej Działu Interwencji przy Zarządzie Regionu „S” w Gdańsku, zgłosił się ostatnio pracownik Spółdzielni Pracy „Gedania”, przynosząc mocno nadpaloną paczkę z aktami oraz informując, że 26 kwietnia 1990 około godziny 11.15 przyjechało do tejże instytucji dwóch nieznanymi mężczyzn, którzy wrzucili do pieca dziewięć paczek dokumentów:

Ostatnią paczkę udało się potem wydobyć i częściowo odratować, reszta niestety spłonęła. Czegóż tak się bał szef jednego z ogniw spółdzielczości, że w poplochu nakazał unicestwienie setek teczek z napisem „ściśle tajne”? Przede wszystkim śmieszności. Ujawnienia, że przez lata sztaby ludzi opracowywały bzdurne, nikomu niepotrzebne instrukcje czy zestawienia, biorąc za to państwowe pieniądze. Z ocalałych dokumentów dobrze widać, do jakiego stopnia doszła gangrena komunistycznej biurokracji.

Obok innych stert bezsensu, szczególnie ciekawie przedstawiają się zarządzenia dotyczące ćwiczeń obronnych (zabawa w wojnę pod różnymi kryptonimami). Nadgorliwa szczegółowość owych dokumentów każe przypuszczać, iż były

to przede wszystkim podkładki do premii, gdyż przy okazji „ćwiczeń” sporządzano „analizy” sytuacji politycznej dla pokazania intencji wroga: „Pomimo prób państw socjalistycznych rozładowania kryzysowego stanu stosunków z państwami NATO, siły zbrojne paktu rozpoczęły działania wojenne, dokonując agresji wobec NRD i CSRS”... Wszędzie odpowiednie adnotacje i pieczętki: Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy w Gdańsku — Kancelaria Tajna, Prezes Zarządu WZSP, Dyrektor Zespołu Spraw Obronnych, specjalista ds. Obronnych... Bardzo prawdopodobne, że ludzie ci funkcjonują nadal, biorąc obecnie pensje za odpowiedzialne segregowanie, wiązanie i palenie setek ton zapisanego papieru.

Zbigniew Gach



Fot. Wojciech Milewski

Fot. Maciej Kostur

## Kolekcjoner

Dział Biura Organizacyjnego KK ds. Kontaktów z Regionami kolekcjonuje m.in. kłopoty regionów. Gdy tutejsi pracownicy słyszą o nieporozumieniach, natychmiast dzwonią do zarządów, choć najczęściej nie jest to potrzebne, bo regiony informują same, śląc telexy oraz odpisy „do wiadomości”. Tak jest również z Konińskiem, gdzie awantura to przycicha, to narasta. Biuro KK ingeruje tylko na wyraźne życzenie stron, a w przypadku Konina była prośba o przyjazd Wałęsy. Wałęsa nie mógł, chciał wysłać Kaczyńskiego. Ale jego nie chcieli.

Konflikt koniński ciągnie się od zeszłego roku, a toczy między senatorami K. Brzezińskim i J. Niewiarowskim a „Solidarnością”. Zaczęło się jeszcze za czasów TZR-u, wymanewrowanego z wysuwania kandydatów do parlamentu. Nowy zarząd chciał zgody. Przewodniczący Z. Ładosz przez dwa miesiące nie reagował na zaczepki, ale teraz już jedne zakłady po drugim uchwalają wotum nieufności: „nie są już naszymi senatorami, w znaczeniu moralnego poparcia z naszej strony”. Tygodnik „Forum Konińskie”, wydawany przez KO (przewodniczącym i wiceprzewodniczącym są wymienieni senatorowie) „w obrzydliwy sposób atakuje nasz związek i ośmiesza w niewybredny sposób naszego posła J. Żurawieckiego”.

Przedstawiciele osiemnastu środowisk konińskich wybrali na pełnomocnika ds. samorządu terytorialnego Lecha Stefaniaka. Senatorowie wysunęli swoją kandydaturę mec. Terpińskiego i zawieźli go w teczce do Warszawy. Profesor Regulski zawiesił Stefaniaka i Konin nie ma żadnego przedstawiciela.

Wszystkie strony powiedziały swoje i teraz jest cisza. Senator Niewiarowski w wywiadzie dla „Forum” wyraził chęć wycofania się. Brzeziński walczy nadal. Ale o co i dlaczego? — tego nikt do końca nie wie.

M.S.

Najistotniejszym i najbardziej regularnym kontaktem „Solidarności” z Międzynarodową Konfederacją Wolnych Związków Zawodowych — określa Anna Fotyga z Biura Zagranicznego KK — jest udział przedstawicieli Związku w odbywanych dwa razy do roku sesjach Zarządu MKWZZ. Jest regułą, że spotkanie wiosenne odbywa się w Brukseli, gdzie mieści się siedziba Konfederacji, a jesienne — „na wyjeździe”. W ostatniej sesji wyjazdowej, w Lon-

## Obserwator z głosem

dynie, na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku, wziął udział sam Lech Wałęsa.

Ostatnio powróciła z Brukseli nasza delegacja z Lechem Kaczyńskim. Na miejscu wspierali gdańszczan Joanna Pilarska i Jerzy Milewski z brukselskiego biura „S”.

„Solidarności” nie jest członkiem zarządu, ale od początku lat osiemdziesiątych bierze udział we wszystkich jego sesjach (w okresie delegacji — oczywiście poprzez Biuro w Brukseli), w charakterze obserwatora z prawem głosu. Tym razem owo prawo wykorzystowała polska delegacja dwukrotnie. Po pierwsze, Lech Kaczyński złożył zebrany krótkie sprawozdanie z wyników i ustaleń II Zjazdu Krajowego „S” (okazało się zresztą, że licznie reprezentowani na gdańskim Zjeździe przedstawiciele zachodnich central związkowych zupełnie dobrze orientują się w naszych problemach). Po raz drugi „zastępca szefa” wystąpił w czasie dyskusji projektu rezolucji dotyczącej problemu litewskiego. Na sali dało się zauważyć widoczne poruszenie, kiedy to w bardzo propierestrojkową atmosferę Kaczyński wstrzelił się znanym u nas listem Wałęsy do Gorbaczowa. Było to bez wątpienia najostrzejsze wystąpienie „w temacie” Litwa.

Co z trzydniowych obrad było najważniejsze dla „Solidarności”? Przede wszystkim to, że Związek nie jest już

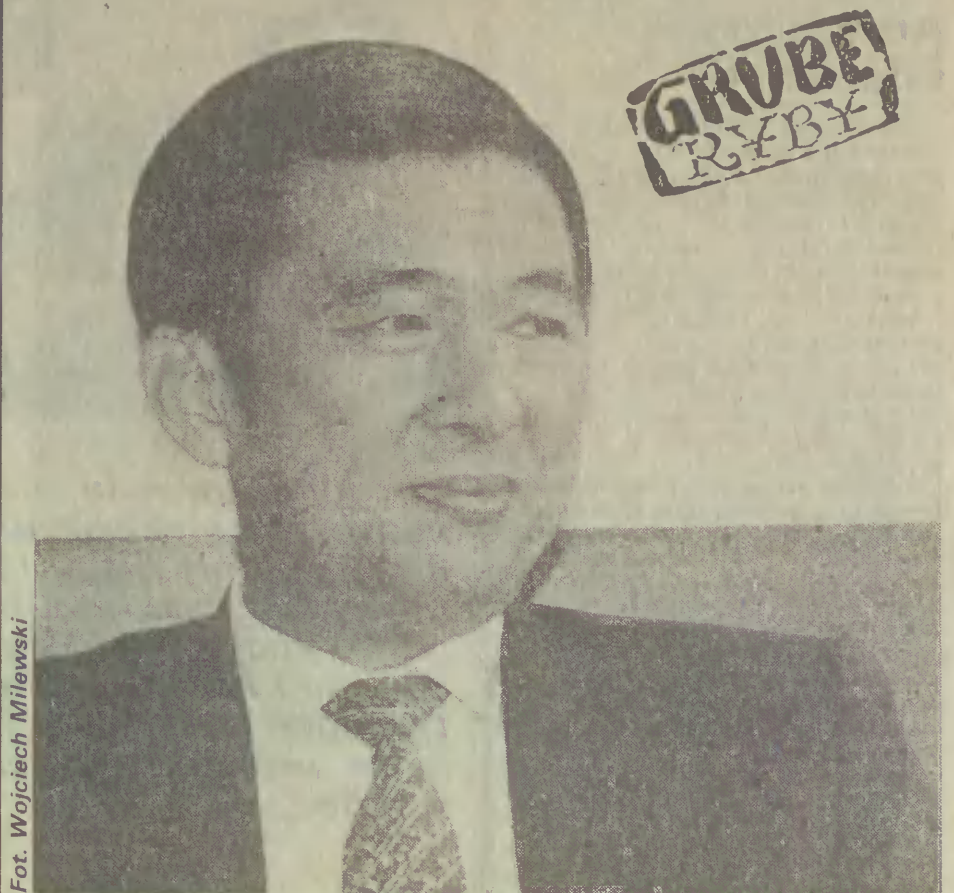
jedyną centralą z Europy Wschodniej afiliowaną w Brukseli. Niedawno członkiem MKWZZ została Czechosłowacka Konfederacja Pracy, owoc aksamitnej rewolucji. Jej liczebność (6 mln członków) wyraźnie zaimponowała zachodnim związkowcom, nie do końca chyba zorientowanym w częściowo automatycznym przestacaniu się różnych starych czechosłowackich ciał w nowe.

Nie jest już więc „Solidarności” jedy-

ną — ulubienicą europejskiej rodziny, ale jej pozycja nadal jest mocna. Wystarczająco mocna, aby realnie myśleć o wejściu naszego związku do zarządu Konfederacji (być może już podczas planowanego za 2 lata Kongresu MKWZZ). „S” chciałaby reprezentować w nim nie tylko sprawy polskie, ale i szerzej — interesy młodego, wolnego ruchu związkowego krajów postkomunistycznych. Roli, którą „Solidarności” pragnie odgrywać w tej części Europy, i której nota bene nikt specjalnie nie podważa, stanęła nieco w poprzek decyzja o powołaniu biura MKWZZ ds. Europy Wschodniej w Wiedniu. Sprawa powołania takiej filii była walkowana z różnym natężeniem niemalże od roku. Jesień '89 postawiła kropkę nad „i”. Przyszłość pokaże, jak „Solidarności”, mająca od blisko 10 lat bardzo dobre bezpośrednie stosunki z Brukselą, poradzi sobie z wiedeńskim pośrednikiem.

Zarząd Konfederacji zbierze się (a raczej zleci) na tegoroczną sesję jesienną... w Tokio. W Biurze Zagranicznym mają tylko pół roku na naukę japońskiego. A może być bardzo potrzebny. Szczególnie na lotnisku, gdyby na przykład trzeba było tłumaczyć, jak ostatnio po przylocie do Brukseli, że oficjalny gość z Polski, to nie przemysłnik, azylant, terrorysta, czy — nie daj Boże — komunista, tylko wręcz przeciwnie!

Adam Derewicz



Domingo Siazan — dyplomata pochodzenia filipińskiego, żonaty, czworo dzieci, 50 lat. Urodził się pod znakiem raka, w chińskim roku królika (kota). Od czterech lat (druga kadencja) dyrektor generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Uprzemysłowania — UNIDO (United Nations Industrial Development Organisation) z siedzibą w Wiedniu. Przedtem pełnił funkcję ambasadora Filipin również w Wiedniu.

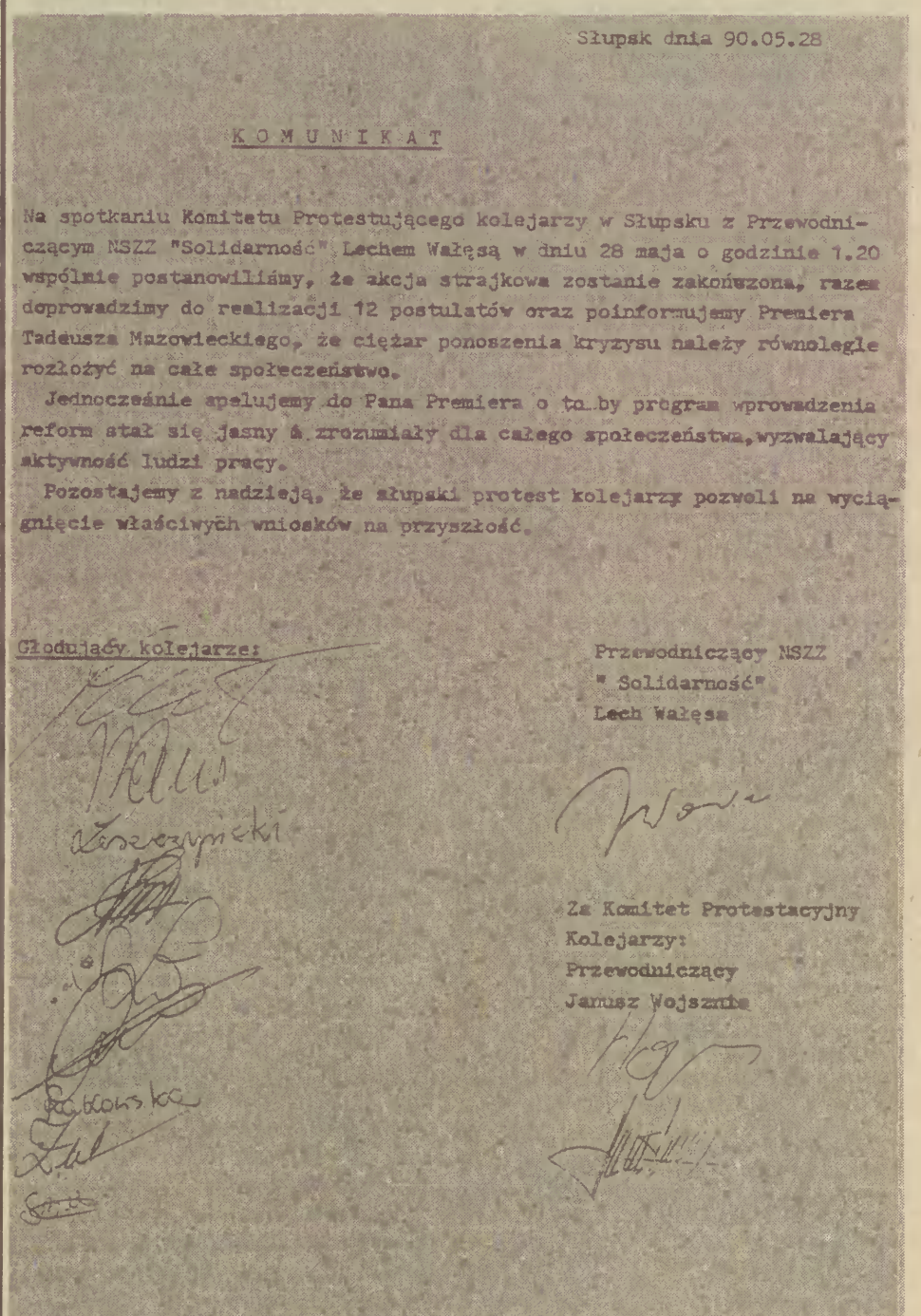
Jest bardzo życzliwie nastawiony do Polski, „zawsze” pragnął przyjechać nad Wisłę. W karierze dyplomatycznej poruszał się między Portugalią i Filipinami, a oba kraje nie utrzymywały swego czasu stosunków dyplomatycz-

nych z Polską. Okazją do wizyty Mr. Siazana w naszym kraju stało się otwarcie Drugiego Forum Inwestorów w Warszawie, na którym ponad dwieście firm zachodnich przedstawiało oferty współpracy.

W rozmowie z Lechem Wałęsą, 23 maja w Gdańsku, Domingo Siazan zaproponował m.in. szersze wykorzystanie banku informacji przy Funduszu Gospodarczym NSZZ „Solidarności” (przygotowano przecież sześć tysięcy ofert polskich przedsiębiorstw pragnących współpracy na zasadach joint venture). Filipiński gość przyznaje, że nigdy nie czytał dzieł Marksa ani Engelsa.

EWG

## Poniżej reprodukowujemy oryginał komunikatu po zawieszeniu strajku na kolei.







# Wielbłądupadł

T rzecią czerwca 1950 dojechałem z matką trolejbusem nr 51 do baraku, wówczas pełniącego rolę stacji Warszawa Gdańska. Zegar wskazywał 21.39. Cztery minuty zajęło nam kupowanie biletów, wypisywanych ręcznie przez niemrawą kasjerkę. Na peronie posapywała gotowa do odjazdu lokomotywa, dyżurny ruchu wznosił do góry chorągiewkę. Właśnie o 21.45 odchodził ostatni w rozkładzie pociąg. Bieglisny na przełaj przez tory i wtedy, przerażony perspektywą spędzenia nocy w poczekalni nigdy nie sprzątanej, śmierdzącej i zadymionej, wykrzyknąłem zgnębne w skutkach zdanie:

— Niech szlag trafi te zasraną kolej! Teraz wypadki potoczyły się jak w sekwencji filmowej. Za plecami, na peronie, zatupały czyjeś buty, usłyszałem przeraźliwy gwizd i okrzyk:

— Stój! Stój, bo będę strzelał! Para wprawiła w ruch koła lokomotywy, sznur wagonów typu towarowo-osobowego nabierał szybkości. Młody sokista z pistoletem maszynowym PPSz w pozycji horyzontalnej, gotowym do użycia, wycedziwszy regulaminowe „obywatel uda się ze mną, obywatelka też” — zaprowadził nas pod bronią na odwach.

To wykroczenie porządkowe następnie jakby pęczniało w kolejnych instancjach, przeobrażając się ze zwykłego użycia w miejscu publicznym słów powszechnie uważanych za obraźliwe w obrazę funkcjonariusza na służbie i obrzędy PKP, będących paramilitarną instytucją Polski Ludowej, co równało się już wrogiemu nastawieniu do nowej rzeczywistości. Żarty się skończyły, o winie i karze miał rozstrzygnąć sąd.

Pani sędzina w asyście ławników na czas, gdy oskarżony miał dosłownie opisać na czym polegał delikt — kazała wóznym opróżnić salę, by nie doszło do zgorznięcia publicznego. Czerwieniąc się i błędąc na przemian wykrztusiłem z wstydem inkryminowany przymiotnik — „zasr...” a obrońca, renomowany adwokat, w wystąpieniu wskazał na okoliczności łagodzące. „Podsądny wywołując się niestety z klasy wyzyskiwaczy powinien wiedzieć, że używanie wulgaryzmów powoduje spustoszenie moralne utrudniając budowę podstaw socjalizmu, ale podczas wojny uległ deprawacji”... Poddano mnie na okres pięciu lat nadzorowi obywatelki sierżant z tzw. obyczajówki MO, która co tydzień odpytywała mnie na komendzie z „Poematu pedagogicznego” Makareńki i którą mnie z kolei udało się w rewanżu trochę zdeprawować. O szczegółach innym razem.

Zastrzegam przy tym, że opisując wydarzenie nie zamierzam uchodzić za ofiarę stalinizmu-bierutyzmu w b. PRL.

Wręcz przeciwnie! Z rozczuleniem wspominam strażnika ochrony kolei, tak reagującego na mój słowny bezwstyd. Cóż to były za sielskie czasy! Dziś, przy podobnych rygorach, jęczałoby w kajdanach trzy czwarte Polski i trzeba by zamknąć przedszkola jako wylęgarnię słownych przestępców (wykroczców).

Śp. babcia herbu Ślepowron nazywała gacie dziadka (herbu Jastrzębiec) ineksprymablami, strasznie nieprzyzwoite słowo wymawiając szeptem. Potem biegła wypowiadać się u franciszkanów. Sam dopiero w piątej klasie ważyłem się z koleżką głośno kilka razy powtórzyć „Wielbłądupadł...” co tworzyło — proszę spróbować — nieprzyzwoitą zbitkę zamiast tolerowanej, *fi donc*, pupy. W szóstej repetyt Woźniak na pauzie wyjął mi dwuznaczność „tam do diabła z tym kutasem!” w przerabianej sztuce Aleksandra hr. Fredry. Odtąd, choć już mi się wąsik sypał i miałem o ciocie z Tymbarka erotyczne sny, nawet synonim ozdoby czapki nocnej czyli szlafmicy — frędzelek — wywoływał u mnie rumieniec wstydu i suchość w gardle.

Czuję się teraz zmęczony na duszy i ciele wzbierającą falą pospolitego chamstwa. Osacza mnie zewsząd, nawet w teatrze, uchodzącym przecież ongiś za świątynię Meipomeny. Komu się użalić, gdy odzywki w rodzaju „bo ci zara przyp...” używa władza?

Życie zbrutaliowało się nad wyraz i jak tu odróżnić za pomocą ucha docenta dr. hab. od kogoś, kogo wychowała ulica? Idę zamyślony za dziewczeczkami szkolnymi, w wieku w którym sypie się polne kwiecie przed baldachimem — aż tu jak pała w łeb uderzy słówko, jakiego kiedyś nie użyłby wozak (wtedy furman). Już się tworzą słowne mutanty, epitety kilkupiętrowe, a gdy dla dosadności braknie słów — pozostanie zaprasające wypięcie zadka. Zgroza.

Unikam sytuacji, w których obornik słowny występuje w stężeniu. Darzę sympatią młodych, nieczulych na tę modę i obywatelskich się bez „Q” dla uzyskania ekspresji. Rządzący są jak białe kruki, fakt. Bywają lekceważeni w erze „macho” i machizmu, kultu Bronsona czy Stallone (nb. po włosku „stallone” znaczy „ogier”) zamiast, powiedzmy, Woody Allena czy Dustina Hoffmana.

— Cóż to za chłop — można usłyszeć z ukarminowanych usteczek — co się nie w y r a ż a. Pewnie i fiata ma tylko małego... (zasłyszane). — Brzmii w tym niesprawiedliwa krytyka osobników delikatnych, wrażliwych, przy okazji nie szcędząca 126 vel FSM 650, dumy rodzimej motoryzacji.

Jan Chrzan  
(FSO 1500)

C o parę kwadr księżycą zdarza się w publicznym życiu Wałęsy kilka dni szczególnie ciężkich — wypełnionych epizodami drobnymi jak paciorki albo zdarzeniami niczym dynie. Ostatnio wystąpił wariant drugi, niebezpieczny dla poziomu cukru w jego krwi.

Zaczął się od niedzieli 20 maja, gdy wylatywał na kongres centrali związkowej DGB do Hamburga, mając świadomość, iż Lech Kaczyński (wiceprzewodniczący „Solidarności”) pertraktuje od czterech godzin ze strajkującymi kolejarzami w Słupsku. Nie pozwoliło to Przewodniczącemu na luz w czasie zachodniej wizyty, choć Niemiaszki czekały rozpromienione: *Herr Walesa, bitte schön*. Uehonorowano polskiego elektryka już w przemówieniu inauguracyjnym, witając zaraz na drugim miejscu po prezydencie Weizsäckerze. Następnie były obrady, lansady, tyrały, przy czym kilkakrotnie podkreślano, że zjednoczenie Niemiec stało się możliwe w wyniku sukcesów „Solidarności”. Po południu Lech przemodlił nabożeństwo w Kleine Michael Kirche — polskim kościółku przy Grosse Freiheit — wieczorem zaś wziął udział w przyjęciu dla zagranicznych gości na stacjonarnym jachcie „Rickmer Rickmers”.

Drugiego dnia było o wiele gęściej, ponieważ dominowały spotkania z udziałem dyrektora Fundacji Gospodarczej „Solidarności”, Juliana Skelnika. We wtorek 22 maja — mimo zaplanowanego przez organizatorów mitingu z hamburskimi stoczniovcami — Wałęsa odleciał rankiem do Warszawy (via Frankfurt), by zdążyć na spotkanie Komitetu Obchodów Dwusetnej Rocznicy Uchwalenia Konstytucji 3 Maja. W samolocie odbył jeszcze krótką rozmowę z Jeffreyem Sachsem — dwudziesto-letnim „cudownym” profesorem amerykańskim, doradcą ekonomicznym rządu polskiego w zakresie wychodzenia z inflacji.

W środę, już w Gdańsku, miało miejsce znakomite trzygodzinne spotkanie,

# Śpiączka i gwizdy

którego nie wylapała codzienna prasa: oto Wałęsa, przeżywający od niedawna kryzys tożsamości, mógł przepłukać swoje poglądy w kąpieli zdrowego rozsądku. Stało się to za sprawą brukselskiego dziennikarza Leopolda Ungera, który wyszedł poza umówioną rolę obserwatora i — w obecności senatorów Jerzego Stępnia (generalnego komisarza wyborczego) oraz Lecha Kaczyńskiego — zadał kilka fundamentalnych pytań: Dlaczego przewodniczący „Solidarności” nie rozumie, że absolutnie wszystko, co czyni i mówi, ma wymiar gestów politycznych? Dlaczego, jeśli inaczej widzi przebieg reform niż rząd, nie zasiądzie ze „swoim” premierem do okrągłego stołu, skoro zrobił to rok temu z „nie swoimi” generałami? Dlaczego różne koncepcje rozwoju Polski nie mogą być stopione w jednolitą, wspólną? Dlaczego obecnie, gdy kraj grzęźnie w kryzysie, nie idą w kąt animozje personalne? Dlaczego „wojna”, a nie kompromis? Dlaczego odpowiedział na kilka złośliwych stwierdzeń jest kampania antyinteligentka? Dlaczego „Solidarności” nie zakłada własnej partii politycznej? Dlaczego...?

Wałęsa odpowiadał z nerwem — to sportowo, to wycinkowo. Znalazł szczytę słuszności w spostrzeżeniach komentatora, lecz oczywiście nie przyznał mu całkowitej racji. *Ja jestem niewygodnym partnerem dla premiera Mazowieckiego. On jest za wolny — zanim pomyśli, to ja już dwa razy zrobię. (...) Myślałem, że ułożymy symbiozę jakąś dobrą, ale to nam nie wyszło. (...) Daw-*

*niej galem jako „dziesiątka”, czyli ten, który strzela gole; wszyscy mi podawali, ja strzelałem i było okiej. Teraz gram w dalszym ciągu, ale „dziesiątka” to Mazowiecki. Ja mu podaję, a on kiksuje, bo czeka, że w pierw podniosę rękę: uwaga! Albo, gdy zagrywam, on stopuje piłkę i mówi, że szła w niewłaściwym kierunku. (...) A ja mam taki charakter, że jeśli widzę szansę, to kopię od razu. (...) Ja nie chcę zbierać pretensji za nieudolność, za śpiączkę premiera, którego koledy leją mnie ciagle w dziób! A publiczność gwizda coraz mocniej. Czyli ja ciągnę robotę i jeszcze obrywam.*

W piątek 25 maja Przewodniczący planował rozpoczęcie 8-dniowej podróży po Skandynawii (w niedzielę miał wpaść specjalnym samolotem do Gdańska na wybory). Niestety, rozprzestrzeniający się, a noszący znamiona prowokacji, strajk grupy kolejarzy — pierwszy od 1926 roku — przekreślił wyjazdowe zamiary. „Wódz” postanowił zostać w kraju, zwołując nadzwyczajne posiedzenie Komisji Krajowej „S”. W sobotę, późnym wieczorem, zdecydował się na wypad do Słupska, gdzie trzy dni wcześniej przebywali szefowie innych związków: beton i niereformowalny magazynier. Mozolna rozmowa ze strajkującymi nie przyniosła rezultatów. *Mnie tu nie było — podsumował Wałęsa i wyjechał. Jednakże dwadzieścia pięć godzin później zjawiał się znowu — na prośbę strajkowniców — i tym razem doprowadził do zawieszenia protestu.*

Zbigniew Gach

# Święta średnia

jalistyczne. Stąd ciągle żądania by dostawać przynajmniej średnią płacę. Każdy, kto odkrywa, że zarabia mniej niż przeciętna, czuje się pokrzywdzony przez los, system, „onych”. Pielęgniarka, konduktor, nauczyciel, ślusarz itd. — nikt nie chce być znieważony zarobkiem mniejszym od przeciętnego. Średnia należy się po prostu każdemu Polakowi.

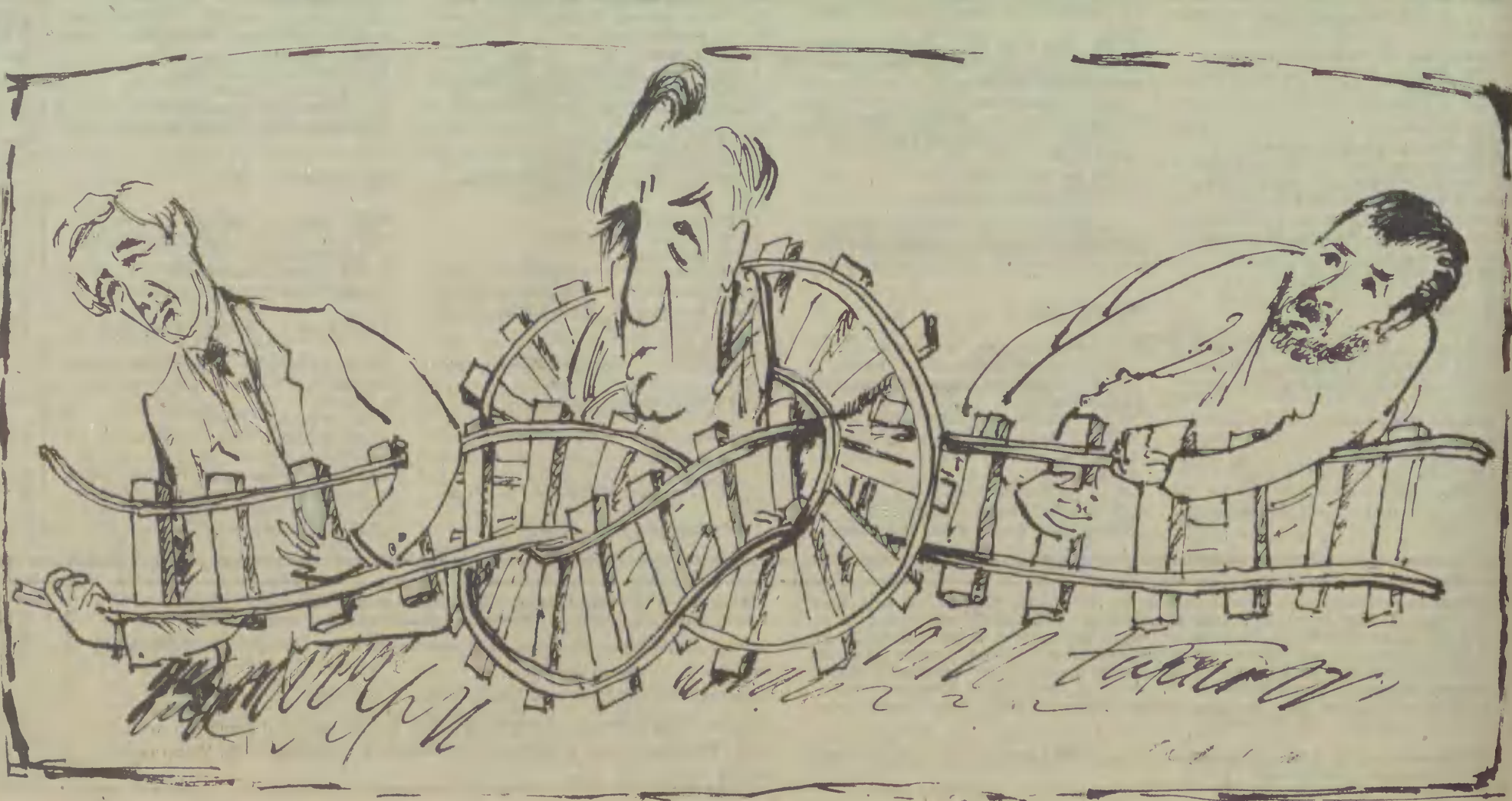
I chociaż wiemy, że średnia z 400 000 i 1 200 000 wynosi 800 000 to kto zechce pogodzić się z tym, że zarabia pół miliona? Gdyby każdy dostał co naj-

miej te 800 tysięcy to i tak byłby zadowolony tylko przez moment. W chwili, w której uświadomiłby sobie, że w wyniku jego podwyżki średnia podskoczyła do miliona, znowu poczułby się pariasem.

Z tego błędnego koła widzę tylko dwa wyjścia. Albo trzeba znieść wszystkie zarobki poniżej średniej, albo musimy się umówić, że od jutra przeciętna płaca to nie będzie żadna średnia arytmetyczna, ale po prostu najniższa pensja, poniżej której nikt nikogo nie śmie wynagradzać.

Piotr Dominiak

Czekając w korałunkowej drukarni na kolejny rzut w szeregowej dekady, ob kabiszku dat sis odciąg od świateł strajkującym kolejarzom Tomorskiej DOKP. Nie marowa jednak czam. Trafił na ślad — być może — słupskiej prowokacji. Tropiąc pisarza, po torach, atkwaj gdzieś drodze do redakcji. Odnajdzie się niebawem.



Rys. Wiesław Matuszek